

aleje 3

ISSN 1427-8812

CZĘSTOCHOWSKI DWUMIESIĘCZNIK KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

NR 30 LISTOPAD/GRUDZIEŃ 2000





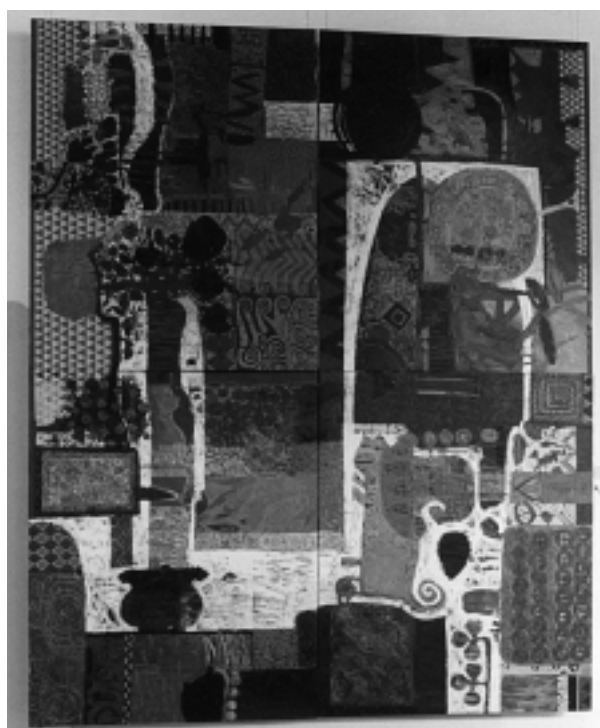
Częstochowa na fotografiach Jacka Kamińskiego z wystawy w Klubie Wiedeńskim (IX-X 2000) – również na stronach: 1, 6, 16 i 17.



obrazy z wystawy „Artyści Częstochowy XX wieku”



Jarosław Kweclich (fot. Robert Klamka)



Janusz Rafał Głowacki

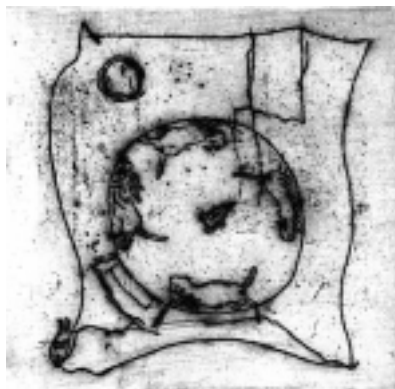


Józef Hollak, „W kąpielni”

miniatura



Grand Prix
Mariusz Mruczek – Chorzów



wyróżnienie
Alex Kaizer Simonoff – Ukraina



wyróżnienie redakcji „Alej 3”
Liili Motuste – Finlandia



Benedykt Kroplewski – Wrocław



Zbigniew Kołaczek – Żyrardów



Szymon Kędzierski – Wrocław



Jarek Kajdana – Lubliniec



Jarosław Kweclich – Częstochowa



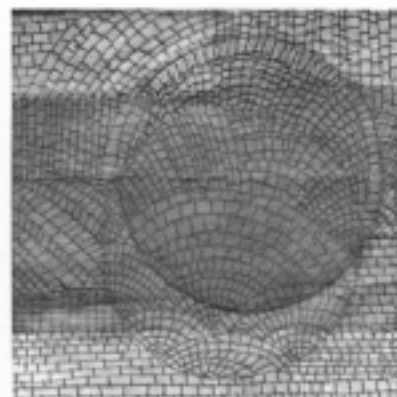
Andrzej St. Konieczny – Gdynia



Jacek Paweł Kazimierski – Aachen



Heli Kurunsaari – Finlandia



Tadeusz Kowalski – Łódź

Stare jak świat, lecz nigdy nie rdzewiejące pytania: skąd jesteśmy, dokąd idziemy, czym jest życie? Snem, absurdalnym przypadkiem, dziwowskim w kosmosie. A śmierć? Cząstką życia, czy czymś odrzuconym na jego margines? A nadto okrucieństwo, mordy, cierpienie, dobroć, miłość. Wiara i nauka – dwie równoległe linie, czy spotkają się kiedy w nieskończoności? Wszystko jednakie, równo nawleczone jak paciorki na nić różańca. I w ten dmuchawiec ginącego kwiatu, z którego jesienią wietrzyk unosi białe spadochroniki. I bolesny skrzyp drzewa, i różowy obłok poranka, co jak język wytryska spoza horyzontu...

Pytania, pytania. Coraz cięższe, rozpaczliwie usiłujące rozwikłać kwadraturę krzyża.

Przy stoliku siada czterech mężczyzn i jedna kobieta. Ręce, palce wyskakują przed twarz, migają, tańczą. Głuchoniemi pomagają sobie ruchami ust, nawet językiem. Cicha, milcząca o czymś wesołym rozmowa.

Są w jakimś stopniu wyizolowani ze społeczeństwa, towarzysko zdani głównie na siebie. Młoda kobieta w szarym, skromnym sweterku ma na palcu obrączkę, pewnie żona któregoś z towarzyszy.

Myślę o swojej normalności. Przeżyłem życie krzyżując, buntując się, śmiejąc, kochając i płacząc (bez łez). Obiektywnie jestem od moich bliźnich z sąsiedniego stolika szczęśliwszy. Mogę mówić, pisać, z latami nauczyłem się także słuchać. Słuchać innych i wsłuchiwać się w siebie. Ale coraz bardziej cenię milczenie, które też jest rodzajem mowy, choć wiem najlepiej, że którzy milczą nie mają racji. Bezsłowna rozmowa z drugim życzliwym mi i też milczącym człowiekiem. Z jesienną ścianą lasu, podobną do frontonu cyrku; z biedronką spacerującą po dłoni; z twarzą pięknej kobiety i brzydką otchłanią blaszanego śmietnika na kółkach. Wreszcie z niejedną książką, która odkrywa prawdy dotychczas nieznanne. Milczące, pełne żalu rozmowy z możliwościami. Bo umieć je wykorzystać, ucieleśnić, to jest dopiero mądrość życiowa.

Zobaczę ją za dwa tygodnie. Teraz już dwudziestolnią, wysoką, smukłą dziewczynę o brązowych jak ciemny miód oczach. Moja pierwsza wnuczka. Myśląc o tym czuję intuicyjnie pewną prymarną prawdę, często głęboko ukrytą w człowieku, że żyje on przede wszystkim po to, aby kochać. Cała reszta jest wiatrem.

Kiedyś, przed wielu laty, przyjechała do nas ze swoimi rodzicami. Po tygodniu jedziemy do nich samochodem, potem promem i znów samochodem, już za Bałtykiem, przez Szwecję i zachodnią Norwegię, wzdłuż morskiego wybrzeża, aż do Lisefiordu, jednego z najdalej wdzierających się w stały ląd. W jakiejś miejscowości (nazwa uleciała mi z pamięci) przesiadamy się, wraz z samochodem, na niewielki stateczek, który może jednak pomieścić w swych trzewiach kilka aut. Płyniemy fiordem, ponieważ droga wykuta w skalnych masywach, wisząca tuż nad wodą, skończyła się. Po kilku kilometrach znowu wsiadamy do auta. Krajobraz wspaniały, groźny. Ale jazda niebezpieczna. Mnóstwo zakrętów, spirali, zakosów, przepaści, do których spadały z szampańskim szumem warkocze potoków o białej, czasem bursztynowej barwie. Granitowe, prawie prostopadłe do drogi bloki, pokryte seledynowym, nie spotykanym w Polsce mchem i porostami. Nieraz, gdy nasz mocny, angielski „voxvali” wspina się wyżej, przebłyskuje szkłem Morze Północne, tu, w Hardalandzie, wyrzucając niemal na stały ląd dziesiątki skalistych wysepek. Poza tym – absolutne odludzie.

Postój. Biorę rozbrykaną po wyjściu z auta Hjordis, idziemy rozejrzeć się po okolicy. Wąska, kamienista dróżka prowadzi w górę. Im wyżej, tym piękniejsze widoki: bez liku małych jezior z krystalicznie czystą wodą, skały porośnięte sosnami, a wyżej kosodrzewiną, tu i tam zielone łąki, słysząc drewniane kołatki owiec. W dole wstęga drogi, a na niej nasz samochód. W dali prześwieca szklivo Oceanu. Każda wielka woda potrafi mnie oczarować. Na kilka chwil zapominam o dziecku. Przytomnieję słysząc dzwonki w pobliżu. Rozglądam się przerażony. Widzę ją. Stoi niedaleko ode



Dwumiesięcznik Kulturalny
finansowany przez UM w Częstochowie
Wydawca:
Biblioteka Publiczna im. dr. Władysława Biegańskiego
w Częstochowie, 42-200 Częstochowa, Al. NMP 22.

Redaguje Zespół: Krystian Piwowarski – redaktor naczelny
Sławomir Burszewski – twórczość młodych, poezja
Arkadiusz Zajac – opr. graficzne, plastyka
Marek Niedostatkiwicz – redaktor techniczny
Bogdan Hennig

Korekta: Anna Wolańska

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania nadesłanych tekstów.

Skład:  42-200 Częstochowa, ul. Równoległa 63,
tel. 034/3710789, GSM 0606 902 990

Druk: Drukarnia **KEMOT**, tel. 034/3664597

ISSN 1427-8812

Spis treści

zapiski o świecie	5
zapiski wędrownego malarza	7
felieton	9
notatki z podróży do Lwowa	10
ogród wspomnień	13
poezja	16
książki	19
teatr	20
proza	22
karuzela	30
plastyka	31
informator	39
komiks	41
galeria	43-48

zapiski o świcie

mnie na granitowym załamie, zza którego patrzy prawie oko ciemnofioletowej wody. Nie należy krzyżeć! Czuję bicie serca w gardle. Dopadam Hjordis i oszalała chwytam w ramiona. Ściskam, ściskam pewnie za mocno. Kilka centymetrów dalej uśmiecha się niebiesko pogodna, gładka przepaść wodna. To właśnie wtedy w przeraźliwym olśnieniu doświadczyłem tej prawdy miłości.

* * *

Okrucieństwo wobec osoby najbliższej i kochanej ma motywację sadomasochistyczną. Zadajesz ból, ale sam cierpisz w dwójnasób i nabierasz do siebie obrzydzenia. Chciałbyś każde raniące słowo cofnąć, krzyczysz, że to był zły sen. Lecz to nie sen, to rzeczywistość i twoje zrozpaczone, anielskie zło. O błękitnych oczach i czarnych trzewiach.

* * *

Kilka żeberek kaloryfera nie działa, uległy zapowietrzeniu. A jeszcze przed tygodniem, gdy na zewnątrz panowała słoneczna pogoda, wszystkie były nadmierne nagrzane, że trzeba było otwierać okna.

W moim domu rodzinnym stały piece kaflowe. Zarządzał nimi ojciec i wyłącznie do niego należał rytuał rozpalania. Najpierw trzeba było wybrać popiół i żużel, umiejętnie ułożyć żywiczne drewnienka, a następnie pokryć warstwą drobnego węgla. Pokropić naftą i podpalić. Ogień wybuchał czerwonymi językami, buzował, że słychać było w całym domu. Lubilem na to patrzeć. Płomienie gorączkowo coś gadały, drewno

trzaskało, syczało. W zależności od potrzeby ojciec dokładał węgla, a gdy się wyzarzył do bieli, przykręcał żelazną tarczę, co wymagało dużej siły. Piec nagrzewał się powoli, ale też długo wystygł i przez dzień, dwa promieniował przyjemnym ciepłem. Atmosfera w domu stawała się pogodniejsza. Sprawiał to kaflowy kolos sięgający niemal do sufitu, artystycznie ozdobiony u góry. Taki piec od jesieni, gdy zaczynał spełniać swoją funkcję, był kimś bardzo bliskim, serdecznym, jakby żywą istotą, prawdziwym ogniskiem domowym.

* * *

Ni stąd, ni zowąd zacząłem czytać „Cycerona” Kurmanickiego. Opasły, pięćsetstronicowy foliał. Kogo dziś stać na takie marnotrawstwo czasu? Emerytów, studentów, kuracjuszy w uzdrowiskowych parkach? Kogo może tak naprawdę obchodzić dziś, czy zarzuty stawiane mędrcom z Arpinum, a dotyczące jego postawy moralnej i politycznej, są słuszne, czy przesadzone? Albo to, czy Cyceron „tylko ze względu na osobiste kombinacje zgodził się na małżeństwo swej córki Tullii ze znanym rozpustnikiem Dolabella?” Znanym kiedy? Przed ponad dwoma tysiącami lat...

* * *

Ból fizyczny, który w oka mgnieniu zmienia się w wyjącego Cyclopa. I nie ma już nic poza tym okrutnym świadectwem, że żyjesz. Ale też wtedy za parkanem twego krzyku czujesz czającą się wielką ciszę. Więc krzyczysz coraz głośniejsze, żeby tę ciszę zagłuszyć.

* * *

– Zrozum mnie – powiedziała W. mocno, błagalnie, gdy skończyła opowiadać o sobie i swej decyzji. Było to przed wielu laty. Starałem się zrozumieć, ale wiem dziś, że nie rozumiałem. Nie rozumiałem, ponieważ jej sprawy widziałem moimi oczami, z mojego punktu obserwacji, przystawiałem do jej tragicznej kwestii własną miarę, własny sposób widzenia problemów życia, moich wyobrażeń, odczuć i ograniczeń.

Czy w ogóle możliwe jest to, co nazywa się empatią, tj. identyfikowanie się uczuciowe z drugą osobą? W sposób absolutny? Tylko w jakiejś niewielkiej mierze...

„Chcąc mnie sądzić, nie ze mną trzeba być, lecz we mnie” – Mickiewicz.

Ten sam, pesymistyczny w końcu wątek (niemożność poznania i porozumienia się) podejmuje Wisława Szymborska w pięknym, mądrym wierszu „Rozmowa z kamieniem”.

Pukam do drzwi kamienia.

To ja, wpuść mnie.

– Nie mam drzwi – mówi kamień.

Jestem szczelnie zamknięty,

Nawet rozbite na części

Będziemy szczelnie zamknięte.

Nawet starte na piasek

Nie wpuścimy nikogo.

Tadeusz Gieryski



zapiski wędrownego malarza

*

Z porannej mgły wynurza się czerwienią dachów na ciemnej zieleni leśnego wzgórze stary klasztor. Barokowe kopuły wież okrywa patyna o szczególnym odcieniu – szmaragdowa i szaroniebieska. Uliczka pnie się stromo pod górę. Przy niej cudowne chaty – już ich mniej niż w zeszłym roku.

Plac Rajski wybrukowany ostrym kamieniem. Piętrowe domki z drewnianymi galeryjkami cieszą kolorami surfinii i pelargonii.

Przez otwarte kościelne drzwi słońce wyznacza strefę światła. W małej kaplicy uskrzydłone serca srebrzą się cichym westchnieniem – Matka przytula Dziecko. W zakątku krążganków Mąż Boleści okrywa rany uroczystą, czerwoną kapą. Aniołki czytają z ksiązek, grają na trąbkach i harfach, dzwonią niby owce na halach. Źródłana woda napełnia butelki jak stągwie w Kanie.

Rozległe przestrzenie wzgórz – w łąkach, polach i lasach, jesiennejących sierpniowym słońcem. Tę przestrzeń jednoczą barokowe kapliczki o dziwnych kształtach, prowadząc drózkami przez jerozolimskie wydarzenia.

Miejsce, któremu początek dała genialna intuicja, natchnienie, osobista pobożność czy wielkopańska ambicja – może wszystkiego po trochu. Przepelnione modlitwą i pragnieniem prostego piękna. Pragnieniem zbiorowym – ale wciąż indywidualnym. Wybuchającym w teatralnych gestach.

Uobecniana poza czasem – i w czasie – Rzeczywistość, „przez Niego i z Nim, i w Nim” – nie tylko liturgicznym słowem i znakiem, wielkim misterium – ale i cichą wędrowką ku wiekowym dębom, gdzie Cyreneusz, o wyglądzie Sanczo Pansy, pomaga dźwigać krzyż, Maria słucha niebiańskiego poselstwa, a archaniołowie strzegą mostu nad Cedronem. W to miejsce¹ przybywam co roku dzięki Piotrowi i Teresie, wprowadzony przez Aleksandra, który wcześniej odkrył je dla siebie.

*

Myślałem, że chociaż temu miejscu będzie to oszczędzone. Ale gdzie tam! Widocznie wszędzie musi być jakaś firma „Murek”. No i jest – bruk z betonowej kostki, stylizowane lampy o niedobranej wysokości – światło razi i nic już z tego klimatu wieczornej ciszy, w której płonęła lampka przed figurą Matki Bożej.

Fontanna obrzeżona kamieniami, podświetlona żółto i czerwono. Na brzegu biała figura z nieprawdopodobnie haczykowanym nosem – okazuje się z bliska św. Franciszkiem z gołębiami! Ów nos to łebek gołębia.

*

Oznakowana ścieżka wiedzie grzbietem góry wśród wysokich prostych pni drzew, przez krzewy jeżyn z jeszcze czerwonymi owocami. Idziemy z Aleksiejem „wczesnym rankiem, gdy już weszło słońce”. Tuż obok Góra Kalwaria – i pusty grób. Ścieżka doprowadza do skalnego urwiska. Ponad drzewami kurtyny mgieł otwierają

¹ Kalwaria Zebrzydowska została w roku 1999 wpisana na listę światowego dziedzictwa natury i kultury UNESCO.

kolejne plany wzgórz. Cisza – choć pełno dźwięków. Zbudzone ciepłem słonecznego dnia owady brzęczą jednostajnie. Pszczoła przysiadła na pobliskim kwiecie i wzbija się znów do lotu. Dzięcioł kuje rytmicznie. Leśne ptaki odzywają się co chwila. Z dalekiej wsi dobiegają odgłosy codziennego życia. Ktoś uderza młotkiem. Słońce przenika ciszę łagodnym bezmyśleniem.

*

W południe obłok nad lasem.

*

Obok domku Piłata, gdzie Człowiek jest ciągle ukazany tłumom, coraz nowym – przy lichym stoliku pod drzewem – czerwony parasol z reklamą Coca-coli.

*

Przed październikiem 2000. Po drodze w autobusie rozmowa kierowcy ze znajomym pasażerem. Po góralsku. Ja to wcale nie pójde. Pewnie! Butów szkoda. A przecie buty tyz drogie.

*

Kościół ładnie utrzymany. Papieska chrzcielnica. W kaplicy, w bocznej nawie adoracja Najświętszego Sakramentu. Przed ołtarzem na świeczniku pałą się świece-znicze. Każdy po złotówce. Może trochę kopca, ale jakoś miłsze niż rozpowszechniające się (na Jasnej Górze i nie tylko) – elektryczne światełka wdzięczności, jak z lunaparku. Przed kościołem – portret Papieża. Któż go tak wymalował!!!? Jest nawet podpis artysty.

Dom pana Bałamuta. Na pięterku parę wzruszających przedmiotów. Miłe zdjęcia. Trochę tamtego klimatu ocalałego z muzealnych przeróbek.

późnym latem wczesną jesienią
kiedy lipy i kasztanowce nabierają ciepła
przed odlotem liści
a biało-różowe stokrotki przeglądają się w błękiecie
szczęśliwy Wincenty
zapomina o swojej kronice
w jędrzejowskim opactwie
pośród aniołów

*

Na peronie tablica o międzynarodowym festiwalu. Właśnie się skończył. – Którędy najbliżej do opactwa? – Klasztor? A, to prosto i potem w prawo. Idziemy wzdłuż torów przez coś, co kiedyś miało być parkiem. – Co za dziura – mówię do Aleksieja. Długo nic. Nijakie, rozciągnięte, bezładne. Ruiny przemysłowych zabudowań. Wreszcie zza drzew – dwie barokowe kopuły.

Przy furcie uczynny pan. Szuka zorientowanego cyterstera. Pokój gościnny, proszę. Klucz, klamka od furtki.

Wieczorem z wieży melodia apelu jasnogórskiego. O szóstej rano – „Kiedy ranne” na trąbce.

Poznajemy klasztor od kuchni. Dosłownie. W kuchni dwie miłe panie. – Pani Zofio, pani Zofio! – wbie-

zapiski wędrownego malarza

ga młody brodaty cysters. Kuchnia, jadalnia proste, skromne. Jedzenie też – dobre, jak w domu. Surowy biały refektarz. Zaglądamy przez uchylone drzwi. Duży krucyfiks, drewniane stoły.

– Laudetur Jesus Christus – pozdrawia cichy zakonnik. Jest w codziennym, świeckim ubraniu – później zobaczymy go w czarno-białym habicie. Pochodzi z pobliskiej Antolki, gdzie teraz wzgórze we wstęgach pól złocą się i brązowieją.

Zażywny cysters biegnie zasapany z ministranckich rozgrywek futbolowych. Chłopak o wyglądzie nowicjusza pełni w zakonie ważne funkcje zaopatrzeniowo-organizacyjne, jeździ traktorem, oprowadza wycieczki. Upewnia się, czy nie jesteśmy głodni. Bo potem powiedzą, że nie dajemy jeść – dba o dobre imię konwentu.

Wnętrze kościoła przypomina jasnogórską bazylikę, choć jego klimat jest całkiem inny. Niższe, ciemniejsze, nie ma powietrznej jasnej lekkości, za to skupienie i tajemniczość. Piękna polichromia. Kompozycja rzeźbiarska ołtarza podobna jak na Jasnej Górze. Scena Wniebowzięcia. Autor ten sam.

W klasztorze, po rezygnacji z biskupstwa krakowskiego, zamieszkał sławny kronikarz, błogosławiony Wincenty Kadłubek.

Przed klasztorem biały domek wśród kwiatów i drzew. Pani, która w nim mieszka, tworzy szydełkiem wzorzyste serwety. Domek jest własnością klasztoru. Podobno właściciele myślą go zburzyć. Szkoda by było.

W klasztorze trwają prace konserwatorskie. Odślonięto mury wieży z roku 1100.

Ogromna czerwona tarcza słońca płonie za drzewami.

Pieczenie ziemniaków na polu pod dębowym zagajnikiem. Żar ogniska, księżyc, gwiazdy.

*

Zupełnie Inne Miejsce. Po zielonych oziminach złocisty błysk, bieg – lot saren.

*

Chmury szpaków sejmikują na drzewach, pożywiają się gruszkami, jabłkami, jagodami czarnego bzu. Czerwienieją owoce dzikiej róży.

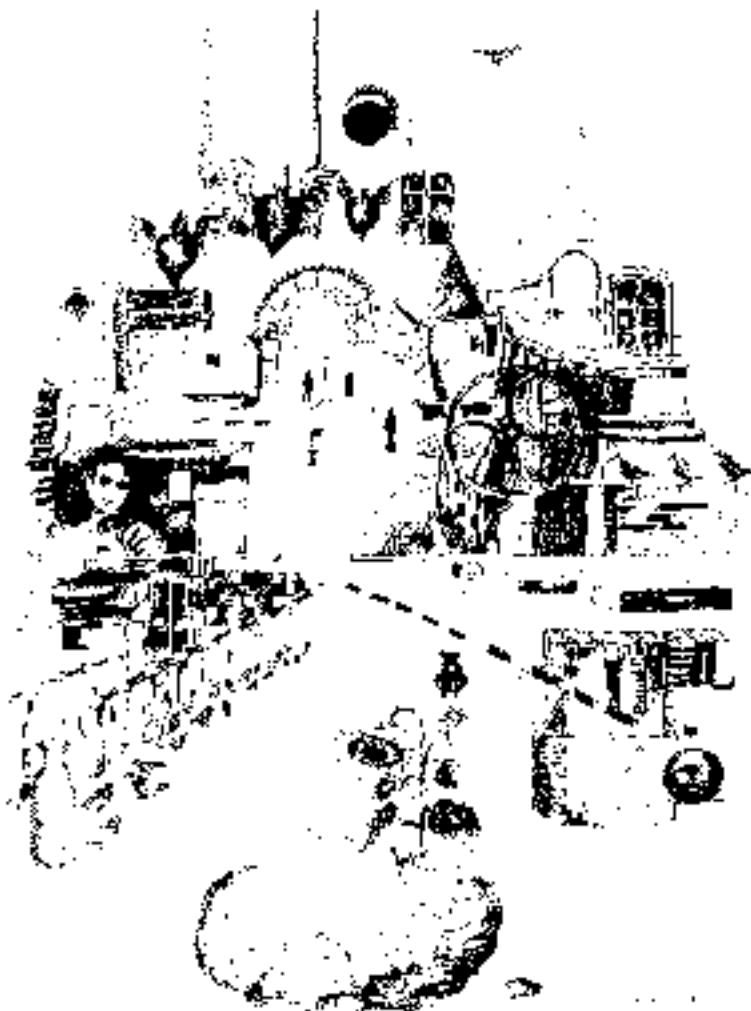
*

Ciepły prąd powietrza, wstępując ku szczytom wapiennych skał, delikatnie muskał policzki.

*

cisza zmierzchu
seledynowa i złota
a księżyc w aureoli
śpiewa pełnym głosem
piaszczysta droga szepce
do spóźnionych snopów
wspary się pod boki
stoją na straży słońca
ziemia mrokiem gęstnieje
w koncertach świerszczy
skrzypcowych i upartych wszechogarniających
weselną skrzypką jakby brylantową spinką
łączy w harmonię znaków
październik młode wino
stuk kopyt skrzywienie osi
hetta! noc jedzie
Wielkim Wozem

Władysław Ratusiński



HOMO ŚMIETNIKUS

W galerii obrazu znanego malarza. „Każdy szuka swojego szczęścia”. Wśród prac zgromadzonych na wystawie – ekspresyjny „Homo Śmietnikus”.

Moją ulicą chodzi często troje ludzi. Dwóch mężczyzn z siwymi brodami i kobieta. Pies sąsiadów, zwykle spokojny, rzuca się ku nim z zajadłym szczekaniem. Dźwigają jakieś tobołki, szukają w śmietnikach. Na ławce między blokami wygrzewają się w słońcu. Powietrze przesyca woń denaturatu.

Sami sobie winni. Co robić? Może brat Albert by wiedział.

Na dworcu w Katowicach przed rokiem. Młodzi i starzy, uzależnieni, psychicznie chorzy i po prostu biedni. Pomaga im brat Jacek z jednego z chrześcijańskich Kościołów. Pieniądze zbiera, śpiewając po ulicach. Okrwawiony brudny mężczyzna leży pod drzwiami na posłaniu z kartonów w kałuży błota. Próbujących się nim zainteresować obrzuca wyzwiskami. Zresztą przechodnie nie zwracają na niego uwagi. Przyzwyczaili się. Rozmowa z kioskarką na peronie. Podaje liczbę młodych ludzi umierających co roku na dworcu. Sami sobie winni?

Na dworcu w Kielcach. Spokojny, schludny mężczyzna w średnim wieku. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że ma wyższe studia. Siada przy stoliku na poczekalni, rozwija torebkę z jedzeniem. Idzie do bufetu, prosi o szklankę wody. Wyjmuje grzałkę, włącza ją do kontaktu. Podchodzi podpity zawiadaczka ze złamanym nosem. Zastanawiają się, gdzie spędzić noc. Sami sobie winni?

Niektórzy politycy, pozał się Boże moralisci, przekonują, że człowiek jest wolny: skoro chce prowadzić taki tryb życia – nikt mu nie może tego zabronić. A jeśli nawet potrzebna jest pomoc, to wszystko załatwi indywidualna dobroczynność szlachetnych a bogatych jednostek.

Rzeczywiście, nadmiernie rozbudowany biurokratyczny aparat pochłania to, co miałyby być przeznaczone na pomoc dla biednych. Ale warunki społeczne, które stwarzają taką sytuację, że zwykli ludzie uczą się obojętności, bo nic się nie da zrobić – są nieludzkie.

Przy wszystkich trudnościach i argumentach uzasadniających, wyrzucanie ludzi na bruk, powiększanie rzeszy bezdomnych – jest nieludzkie.

Każdy, jako człowiek, powinien mieć zapewnione najniezbędniejsze minimum. Zapewne wielu już trudno byłoby przystosować się do tak zwanego normalnego życia. Ale więcej niż pewne, że duża część tych ludzi mogłaby się stać społecznie użyteczna. O własnych siłach nie są w stanie się z tego podźwignąć. To jest wielkie przytłoczenie, wyzwalają się, zwłaszcza u wrażliwych, takie mechanizmy psychiczne – z dnia na dzień, z dnia na dzień, aby przetrwać, bez perspektyw, zobojętnienie, otępienie jakiegoś. Tutaj do rola spełnienia tych, którzy mają więcej – obowiązek, a nie wielkopańska łaska. Rola państwa. Rola samorządu na swoim terenie (było to nie było „miłosierdzie gminy”). Ambicją mających władzę polityczną i administracyjną – a także ambicją tych, co służą człowiekowi pod względem duchowym i dysponują przy tym środkami materialnymi – powinno się stać rozwiązanie tego problemu. Nie znaczy to,

że nic się nie robi – ale że potrzeby są większe. Aby stolica duchowa Polski nie stawała się miejscem bezdomnych i żebraków. Aby mogła służyć jako przykład.

Nie może tak być, żeby w duchowej stolicy, ani gdziekolwiek indziej, zamierzali bezdomni ludzie!

Zaś warunki, cały system społeczny, powinny być takie (a przynajmniej do takich wypadaloby dążyć), by Adam Chmielowski mógł spokojnie malować obrazy, a jeśli zechce zostać świętym, by szukał innych ku temu sposobów. Bo chociaż „ubogich zawsze mieć będziecie”, nie musi to przecież oznaczać bezdomnych nędzarzy, którzy żywią się na śmietnikach, a o których inni dowiadują się jako o ofiarach zbrodni lub mroźów.

Tyle kazania na dzień dzisiejszy. Od pisania nikomu niczego nie przybędzie – ale pomyślałem, że tu, gdzie się pisze o sztuce, powinno się znaleźć miejsce dla tych ludzi, dla których sztuką jest przetrwanie kolejnego dnia.

„Ubodzy, was to spotkało
Witać Go przed bogaczami!”

NIEZNAEMU STRYCHARZOWI

Podnoszę z ziemi kawałek cegły. Gotycka, palcówka – mówi Historyk Sztuki. Pełno takich cegieł ponieważ się tu pod nogami turystów, rozciera stopniowo na czerwony pył. Podłużne wyżłobienia, ślady palców – ślady, które zostawił nieznanemu strycharz. Czyż nie on jest ważniejszy od dumnych rycerzy, panów na zamkach?

Taka mała naiwna prowokacja: można sobie łatwo wyobrazić świat bez stanu rycerskiego, bez żołnierzy, wódzów, armii. Oczywiście – bagatela – pod jednym małym warunkiem: że tak byłoby na całym świecie. Świat tylko by na tym zyskał. Zaś rycerskie cnoty mogłyby znaleźć pomieszkowanie wśród ludzi innych stanów.

A przecież bez uprawiających rolę, wytwarzających żywność, bez tych pogardzanych często przez inne warstwy społeczne a zawsze niedocenianych – kmieci, chłopów, rolników – ludzki świat byłby nie do pomyslenia.

I bez owych strycharzy wytwarzających cegłę – bez wszelakiego rodzaju rzemieślników i robotników – świat byłby trudny do pomyslenia. Bez budowniczych domów, zamków, pałaców i świątyń. Bez ludzi, których służbą jest myślenie, bez ludzi nauki. Bez tych, którzy mają służyć szczególnie duchowi – światu groziłaby wewnętrzna pustka. Bez ludzi tworzących sztukę świat byłby o wiele uboższy.

Czemu więc w społecznej hierarchii ważności tamci – a nie owi najniezbędniejsi – zajmowali pierwsze miejsca? Czemu historia pisana i nauczana była – i jest ciągle w dużej mierze – historią wojen, podbojów, czynów orężnych, paktów i układów?

Biorąc do ręki gotycką cegłę – jedną z tych, które na skutek braku dbałości i właściwej konserwacji od lat się sypią z murów olsztyńskiego zamku – układając dłoń na śladach palców strycharza sprzed wieków, można i o tym pomyśleć. □

Władysław Ratusiński

notatki z podróży do Lwowa

Zaproszenie do odwiedzenia Lwowa otrzymuję poprzez Polski PEN Club. Widnieje na nim informacja, że przejazd do Lwowa odbywał się będzie własnym sumptem, a już tam na miejscu goście nas będą działacze ukraińskiego „Memoriału”, co po polsku oznacza „Pamięć”. Jest to organizacja działająca we wszystkich państwach dawnego Związku Radzieckiego, stawiająca sobie za cel odkrywanie i dokumentowanie zbrodni komunistycznego ludobójstwa. Nie ma tu etatów ani wynagrodzeń za pracę, wszystko odbywa się społecznie, a mimo to z taką determinacją, jakby od ich działania zależała niepodległość Ukrainy.

I pewnie mają rację.

Oddział lwowski tego Stowarzyszenia skupia głównie intelektualistów znających rozmiar komunistycznych zbrodni na Narodzie Ukraińskim i wszystkich innych ludzi, których sowieckie represje dotknęły najbardziej.

* * *

Z wyjazdem na Ukrainę nie ma właściwie problemów. Kraj pomału otwiera się na Europę. Wystarczy więc posiadać przy sobie paszport, potem wykupić na granicy coś w rodzaju naszej „Zielonej karty” – i w drogę.

Jest to jednak tylko łatwość pozorna. Granica bowiem, i to po obu stronach, strzeżona jest z równą gorliwością, jak kiedyś za panowania Związku Radzieckiego.

Do Przemysła zajeżdżamy przed wieczorem. W tamtejszym Muzeum Państwowym czekają na nas pokoje gościnne. Dopiero rano udamy się w dalszą podróż. Podejmujący nas kawą, dyrektor Mariusz Olbromski odradza nam jednak podróż naszym, prywatnym autem.

– Wprawdzie na drogach już nie napadają – mówi – ale włamania do samochodów bywają częste. I weźcie z sobą trochę dolarów na mandaty – dodaje z tajemniczym uśmiechem – bo jak ich milicja zobaczy „inostrąską” tablicę rejestracyjną, to zaraz was zatrzyma. Mandat kosztuje najczęściej 50 dolarów. Można oczywiście się targować, ale poniżej dwudziestu nie spuszcza. Przyczyna kary nie jest tu istotna. Może to być na przykład kura rzekomo przejechana ileś tam kilometrów wstecz, albo za mało czarna jedna z opon w waszym samochodzie. Każdy powód będzie kosztowny. Nikt, zwłaszcza cudzoziemiec, takiej bezkarności nie jest w stanie sprostać.

Po naradach postanawiamy pojechać do Lwowa zyczajnym, kursowym Pekaesem, jakich w ciągu dnia odjeżdża z Przemysła kilka.

Kupujemy bilety i nazajutrz przed godziną ósmą rano meldujemy się na dworcu. Jest niedziela więc ukraińscy handlarze wracają do domu. Pełno ich z charakterystycznymi tobołami z wodoodpornego materiału w niebieskie paski. W poniedziałek wrócą tu z nowym towarem. Autobus nie jest z gumy, wszystkich zabrać nie może, ale my siedzimy już w środku, podniekcytowani trochę podróżą do, bądź co bądź, ciągle przecież egzotycznego kraju.

Do granicy tylko 7 kilometrów. Polacy załatwiają nas szybko, dopiero po stronie ukraińskiej zaczyna się czekanie i czekanie, zdaje się zupełnie bez powodu.

Pogranicznicy ukraińscy noszą na głowach czapki jeszcze z czasów Armii Radzieckiej, z charakterystycznie dużym jak miednica rondem i miny też mają urzędowe, zabraniające komukolwiek wysiąść z autobusu. Stoimy więc i stoimy, a na przejściu granicznym nic się nie dzieje. Dopiero po jakimś czasie nasz kierowca radzi szeptem jak przyspieszyć odprawę paszportowo-celną.

– Zamiast wykupywać za 8 dolarów obowiązkowe ubezpieczenie w biurze obok – mówi – lepiej włożyć połowę tej kwoty do paszportu i razem podać strażnikowi.

Tak też czynimy. Pogranicznik bez żadnej zenady wyjmuje dewizy z paszportu, chowa do kieszeni, następnie długo i z uwagą porównuje fotografię w paszporcie z naszą fizjonomią. – Spasiba – mówi potem i tak fotel za fotelem, rząd za rządem.

Odprawę więc mamy już za sobą, ale nasz PKS jeszcze nie rusza. Przed nami odbywa się bowiem kontrola niemieckiego autokaru z młodzieżą jadącą pewnie na wakacyjną wycieczkę. Tutaj dopiero odbywa się cyrk. Wszystkie bagaże wystawione zostają do kontroli, a autobus skierowany zostaje na kanał, gdzie kilku strażników dokładnie oświetlając latarką, sprawdza mu podwozie.

– Nic się tu nie zmieniło – myślę sobie patrząc na tę scenkę. Związku Radzieckiego dawno już nie ma, a zwyczaje i czujność antyimperialistyczna pozostały.

Graniczny szlaban unosi się wreszcie do góry. Jesteśmy na Ukrainie.

* * *

Lwów to miasto niezwykle. Tu od wieków przenikały się wzajemnie różne kultury, religie i narodowości. Miasto bowiem kiedyś było ukraińskie, potem polskie, potem austriackie, potem znowu polskie aż po agresję sowiektów na Polskę w 1939 roku, stało się znowu ukraińskie.

Tak jest do dzisiaj i tak zapewne będzie już zawsze, bo lepiej i bezpieczniej jest otwierać granice niż je zmieniać.

Ci, którzy myślą jeszcze o polskim Lwowie, powinni wiedzieć, że w mieście tym, od kilku już pokoleń, żyje ponad 80% Ukraińców.

Polacy to niewielki procent jego mieszkańców. W 820-tysięcznej metropolii mieszkają ponadto Rosjanie, Białorusini, Mołdawianie, Ormianie i dla nich wszystkich Lwów to również rodzinne i ukochane miasto.

My jednak szukamy polskich pamiątek. A jest ich w mieście bardzo dużo, chociaż nie uświadczysz już na nich polskich nazw. Wszystko jest tu już bowiem patriotycznie ukraińskie, jak to zawsze bywa u nowopowstałych, zachłyśniętych niepodległością narodów.

Jedynie na cmentarzu Łyczakowskim i Orłąt Lwowskich dawna polska historia Lwowa widoczna jest w całej pełni.

notatki z podróży do Lwowa

Pani Inna Fedyszczak z lwowskiego „Memoriału” powie mi potem, że już na pierwszym posiedzeniu tego stowarzyszenia podjęto uchwałę o renowacji dwóch ważnych dla historii Lwowa cmentarzy. Strzelców ukraińskich i Orłąt Lwowskich. Dwóch przeciwnych sobie idei. Bo tamten czas jest już historią i powinien łączyć a nie dzielić narody.

* * *

Przy wejściu na cmentarz Łyczakowski trzeba wykupić bilety wstępu. Cmentarz jest bowiem „Rezerwatem Historycznym” chroniony prawem, więc jak każde muzeum musi choć trochę na siebie zarabiać.

A jest to miejsce szczególne. Przez prawie 200 lat istnienia cmentarza pochowano na nim grubo ponad pół miliona mieszkańców Lwowa. Leżą tu żołnierze polskich powstań narodowych i dwu wojen światowych oraz wielu wybitnych Polaków. Są groby Gabrieli Zapolskiej i Seweryna Goszczyńskiego, Artura Grottgera i Walerego Łozińskiego, Konstantego Julianna Ordony, bohatera mickiewiczowskiej „Reduty”, i Marii Konopnickiej, której epitafium wyryte na nagrobnej płycie przepisują sobie do pamiętnika.

„ ... Proście wy Boga o takie mogiły,
Które leż nie chcą, ni skarg, ni żalości,
Lecz dają sercom moc czynu, zdroj siły
Na dzień przyszłości.”

Częścią tego cmentarza, jest położony na jego końcu najbardziej polski z polskich, **CMENTARZ ORŁĄT LWOWSKICH**.

Trwają tu ciągle prace renowacyjne, więc zwiedzanie mamy utrudnione. Tylko dlatego, że jesteśmy z Polski i przywiózł nas tu przedstawiciel „Memoriału” sprawujący pieczę nad cmentarzem, pan Jan Nowakowski zgadza się pokazać nam obiekt.

– Cmentarz kryje prochy 2874 żołnierzy – mówi – głównie młodych chłopców poległych w walce z Ukraińcami o Lwów po upadku Cesarstwa Austro-Węgierskiego. Polacy zbudowali im tu cmentarz. W ciągu kilku lat po odzyskaniu niepodległości zbudowano Rotundę-kaplicę, Katakumby i kolumnadę z łukiem triumfalnym. W rzędach ustawiono groby. Stąd właśnie, z cmentarza Orłąt Lwowskich, przewieziono prochy nieznanego z imienia żołnierza do Warszawy, gdzie do dzisiaj spoczywa w symbolicznym Grobie Nieznanego Żołnierza.

Po zajęciu Lwowa przez Sowietów w roku 1939 cmentarz stał się im obcy ideologicznie. Niszczył więc z każdym dniem. W roku 1971 zburzono nawet kolumnady, zniwelowano groby i na miejscu cmentarza założono zakład kamieniarski. Ocalał tylko fragment łuku triumfalnego z napisem: „Mortui sunt ut liberi vivamus” („Polegli, byśmy mogli żyć”).

Po uzyskaniu przez Ukrainę niepodległości Polacy podjęli inicjatywę odbudowy cmentarza.

Ciągle jednak trwają spory między Ukraińcami a Polakami na temat charakteru tego obiektu.

– Ten cmentarz ma łączyć nasze narody a nie dzielić – twierdzi Pani Inna Fedyszczak z „Memoriału”.

– Niech pan posłucha – mówi. – We Lwowie urodziło się już i wyrosło kilka pokoleń Ukraińców. To jest już ich miasto. Jakże więc można pisać na pomnikach, że leżą tu bohaterzy polegli w walce o polski Lwów? Czy wyobraża pan sobie, żeby podobny napis o niemieckich bohaterach widniał w polskim Wrocławiu? Można przecież tak zrobić, żeby nie ranić uczuć patriotycznych żadnej ze stron. Tymczasem upór wzmacnia upór, zawiść potęguje zawiść. Podsycają to zresztą inni, o imperialnych dążeniach. Stąd na przykład ataki nacjonalistycznych grup ukraińskich na polskie placówki, ostentacyjne palenie flag itp.

Pan Jan, opiekujący się cmentarzem, stanowczo twierdzi jednak, że cmentarz musi wrócić do dawnego wyglądu, tak w treści tablic nagrobnych, jak i w kładzie architektonicznym.

Na nic się zdają argumenty ludzi z „Memoriału” o rozsądki i ukraińskim Lwowie.

W odbudowanej już Rotundzie-kaplicy proszą mnie o wpisanie się do książki pamiątkowej.

„Ci którzy leżą na tym Łyczakowskim cmentarzu – piszę – i strelcy lwowscy i polskie orłęta, dawno już sobie przebaczyli. Więc czas teraz na nas, współczesnych”.

* * *

– Jak się żyje we Lwowie – pytam w Stowarzyszeniu Polaków mieszcącym się w jednej z kamienic na Rynku. Stowarzyszenie jest malutkie, ledwie 2000 dusz, głównie ludzi starszych, co to w chórze lubią pośpiewać i dawne czasy powspominać.

– Żyje się ciężko – odpowiadają. Jak wszystkim na Ukrainie.

Emerytury są malutkie po 10, 15 dolarów miesięcznie, co w przeliczeniu na ukraińskie hrywny lub polskie złote wynosi około 40-50 złotych (słownie: czterdzieści – pięćdziesiąt złotych lub hrywien, jak kto woli).

Jak za to żyć, kiedy ceny w sklepach podobne do naszych. Tylko wódka i papierosy są tańsze, więc te właśnie towary najchętniej przemycane są do Polski.

– Jakoś jednak żyjemy – słyszę w odpowiedzi, bo ziemia u nas bogata, czarnoziem, więc większość żywności pochodzi z własnego ogródka.



notatki z podróży do Lwowa

Sprawdza się to jeszcze tego samego wieczoru, kiedy głównym specjałem prozowanej kolacji jest marmolada z własnych jabłek. Znakomita zresztą. Ukraińcy nie poddają się biedzie. Na ulicach ludzie są dobrze ubrani, czysto, już nie po radziecku, byle jak, jak kiedyś, ale zgodnie z zachodnią modą – w dżinsy i kolorowe rzeczy. To nic, że rodem z ciucholandów. Nasza elegancja też się stamtąd wywodzi. I ten ich wciąż urzekający optymizm, że będzie lepiej skoro jest niezawisła Ukraina.

* * *

Wieczorem w mieście jest ciemnawo. Niektóre ulice zupełnie nie oświetlone. – W zimie to nawet wyłączane są całe dzielnice, bo brakuje prądu – tłumaczy Wiktor Fedyszczak, pokazujący nam tego dnia miasto.

Idziemy właśnie najgłówniejszą aleją Lwowa, prospektem Swobody.

Tu błyszczą już reklamy zachodnich firm, ekskluzywnych sklepów, Mac Donalda czy Samsunga. Ludzi na deptaku sporo, bo to właśnie niedziela i nagle gdzieś z oddali dolatuje nas chóralny śpiew.

by ta: Hej, hej sokoły omijajcie lasy, góry, doły, dzwoń, dzwoń dzwoneczku. Dołączamy więc do chóru i śpiewamy razem z innymi, a potem długo bijemy brawo. Ukraińcy są tym zdziwieni. Śpiewają przecież dla własnej przyjemności, nie dla poklasku. Pani profesor Fedyszczakowa z „Memoriału” tłumaczy nam wtedy, że śpiewanie, to u nich rzecz naturalna.

– Ja na przykład, kiedy ze swoimi wnuczkami lepiej pierożki, to śpiewamy sobie na trzy głosy. A wy, Polacy, jakoś nie kochacie śpiewu – dodaje na koniec.

– Jak to nie kochamy – oburzam się wtedy. – A Góralu czy ci nie żal, nie słyszała pani?

* * *

Radość z odzyskanej niepodległości jest na Ukrainie ogromna, najbardziej jednak manifestowana na tzw. Zachodniej Ukrainie. Od pokoleń przecież tęsknili tu do swojej „Samoistnej Ukrainy”. No i wreszcie po dziesięcioleciach całych spełniło się. – Daj Bóg, żeby już na zawsze – słyszy się w rozmowach.

Ten wciąż żywy niepokój o przyszły los Ojczyzny daje się również odczuć w rozmowach z ludźmi



Jakaś masowa impreza rozrywkowa – myślimy. Podchodzimy bliżej i aż zatrzymujemy się zdumieni. Na niewielkim placu obok głównego deptaka zebrało się, licząc lekko, kilkaset ludzi i śpiewają sobie dla samej przyjemności śpiewania. Jedni do tego chóru dochodzą, żeby wspólnie pośpiewać, inni odchodzą ukontentowani, chociaż chór ciągle śpiewa. I to jak! Na cztery głosy, wyraźnie, donośnie w przepięknej, cerkiewnej harmonii słów i melodii.

Stoiśmy urzeczeni ich śpiewem i trwamy tak czas jakiś wsłuchani w ten niezwykle koncert. W repertuarze dominują oczywiście patriotyczne pieśni ukraińskie, ale są też znajome polskiemu uchu piosenki jak choć-

z „Memoriału”. Duma bowiem z odzyskanej niepodległości nie jest na Ukrainie powszechna.

We wschodniej jej części, na przykład, wpływy rosyjskie są ogromne. Całe wieki bezwzględnej dominaty najpierw carskiej, potem sowieckiej zrobiły swoje.

W tej części Ukrainy mówi się po rosyjsku, myśli po radziecku, żyje jak dawniej, po sowiecku. Trzeba teraz kilku pokoleń i ciągłego budzenia patriotyzmu, żeby to zmienić. Ostoją dla tej, tyle co powstałej Samoistnej Ukrainy jest obecnie jej zachodnia część. Ta kiedyś austriacka, galicyjska, a potem polska. I zabrzmi to pewnie paradoksalnie, i wbrew wszystkim do niedawna stosowanym zasadom komunistycznej historii, ale to

właśnie Polacy przyczynili się do tego. Prawdę tę odkrywają teraz ludzie z „Memoriału”.

– Właśnie za Polskich rządów – mówią – nikt tu naszych zwyczajów ani naszej kultury nie dyskryminował. Były tu przecież ukraińskie szkoły i prawosławne kościoły, ukraińskie święta i ukraińskie wydawnictwa. A wzajemne przenikanie się kultur, polskiej i ukraińskiej, wzbogacały tylko obydwaj narody.

– Tamta polska szlachetność bardzo pomogła nam zachować do dzisiaj naszą ukraińską tożsamość – twierdzą w lwowskim „Memoriale”. I trzeba o tym mówić – dodają na koniec, – bo to nas łączy, a nie podsycać wzajemnych, przestarzałych animozji.

– Polacy i Niemcy potrafili się pogodzić, pora więc na nas.

* * *

Pracy ludzi z „Memoriału”, dla pojednania Polaków i Ukraińców nie sposób przecenić. Ich niesamowity wprost trud na rzecz uświadomienia Ukraińcom drogi jaką przeszli i kim na powrót będą, jeśli nie obronią swojej niepodległości, przyprawia o podziw.

Oto niedawno na Marsowym Polu, ustawiono kilka długich rzędów prostych, sosnowych trumien. Odbywał się wtedy pierwszy publiczny pogrzeb ekshumowanych więźniów, rozstrzelanych pod ścianą NKWD-owskiego więzienia na Zamorstynowie.

Wymordowano tam kilka tysięcy Ukraińców, Polaków, Rosjan. Pogrzeb transmitowało radio, pokazywała telewizja. – Wszyscy mogli zobaczyć kim byliśmy wtedy, gdy zbrodnia była zwyczajnością – mówią mi w „Memoriale” – i o czym pamiętać trzeba, żeby tamten czas nigdy nie wrócił.

Takich miejsc kaźni na Ukrainie są setki, jeśli nie tysiące i wszystkie te zbrodnie poszłyby zapewne w niepamięć, krótkim skwitowaniem, że taki był czas, gdyby nie „Memoriał”. Oni dopiero unacznili swoim rodakom, czym naprawdę był komunizm. Swoim bowiem łatwiej uwierzyć.

* * *

Przez przejście graniczne w Medyce wiedzie szlak turystyczno-przemysłowy obydwu sąsiadujących z sobą narodów. Wiele miast i miasteczek po obu stronach granicy utrzymuje się z tego właśnie procederu. Bo u nich bezrobocie jest jeszcze większe niż u nas. Jeden po drugim padają bowiem duże zakłady przemysłowe, dające dotąd ludziom pracę. Do tej biedy dochodzi, wyniesiony jeszcze z czasów socjalistycznych, nawyk do minimalizmu i byle jakiego życia. – Byle do jutra – słyszy się często, bo nic tu nie jest twoje i ktoś inny za ciebie decyduje.

Dlatego w kilku kołchozach wokół Lwowa i tych dalej, co na słynnych czarnoziemach gospodarują, nikt z pracowników nie interesuje, co się dzieje z płodami ziemi, które wyhodowali. A zboża tu piękne, wysokie na chłopca i kłosa pełne pszenicy, pod ciężarem zgięte aż do ziemi.

– Panie – słyszę od jednej z pracujących tam kobiet – a co nam do tego. My swoje 200 hrywien dostajemy i kartoszki i kapustę na zimę, to po co nam wiedzieć.

– Na szczęście chleba nam już nie brakuje – powie mi osiemdziesięcioletnia Maria Pakulisz. – Bo ja, wie pan, pamiętam jeszcze wielki głód z lat trzydziestych, kiedy na Ukrainie zmarło najgorszą śmiercią, bo z głodu, ponad 15 milionów ludzi. Dlatego się cieszymy, że tamtej, radzieckiej Ukrainy już nie ma. Ta obecna ma przynajmniej przyszłość, bo Ukraińcy chcą ją sobie ułożyć po swojemu.

Życzę im tego z serca. Mamy przecież tyle wspólnego zarówno w historii, jak w zabytkach, w równiej mierze ich, co naszych, a co do teraźniejszości, to lepiej, kiedy sąsiedowi wiedzie się dobrze. □

Andrzej Kalinin

Cmentarz św. Rocha

Do lat wiosny odpowiada człowiek za to
co umarzył, ukochał, upragnął –
potem odpowiada człowiek za to,
co dokonał, dopełnił, uskutečnił...

(C.K. Norwid)

Na najstarszej częstochowskiej nekropolii – cmentarzu św. Rocha, spoczywają ludzie wielce zasłużeni dla Częstochowy m.in.: prof. dr hab. Aleksander Szymon Grabara, artysta plastyk Wojciech Barylski, poetka Halina Poświatowska, księgarz i wydawca Władysław Nagłowski.

Prof. dr hab. Aleksander Szymon Grabara urodził się 18 lipca 1922 roku w Kawodrzy Górnej, w wielodzietnej rodzinie o wielkich tradycjach moralnych i religijnych. Do szkoły podstawowej uczęszczał w rodzinnej miejscowości. Dzięki bardzo dobrym wynikom w nauce został wyróżniony i jako jedyny uczeń skierowany do szkoły w Częstochowie. W czasie drugiej wojny światowej uczył się na tajnych kompletach oraz zajmował się kolportażem podziemnej prasy.

Ogromna energia, zapał, pracowitość i talent zadecydowały o sukcesach naukowych Profesora. Przez większą część swojego życia związany był z Politechniką Częstochowską. W uczelni tej pełnił m.in. funkcje: dyrektora Instytutu Inżynierii Lądowej, dziekana Wydziału Budownictwa. Kierował również Katedrą Ekonomiki i Organizacji Budownictwa. W latach 1984-1991 był dziekanem Wydziału Humanistyczno-Pedagogicznego Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie. Po przejściu na emeryturę kontynuował pracę naukową jako profesor w Wyższej Szkole Języków Obcych i Ekonomii w Częstochowie.

W dorobku naukowym Profesora znajduje się ponad dwieście publikacji, w tym siedem książek i sześć skryptów. Był recenzentem i promotorem wielu prac doktorskich i rozpraw habilitacyjnych. Był także członkiem Polskiej Akademii Nauk, wiceprzewodniczącym Komisji Organizacji i Zarządzania. Mimo choroby i pogarszającego się stanu zdrowia, profesor Grabara do ostatnich chwil uczestniczył w pracach na rzecz miasta.

Zapamiętałam Profesora jako człowieka wielkiej życzliwości i serdeczności.

ogród wspomnień



1 lipca 1999 roku zmarł wybitny częstochowski artysta plastyk, porucznik Armii Krajowej i Konspiracyjnego Wojska Polskiego – **Wojciech Barylski**.

Pochodził z rodziny artystycznej. Studiował w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych i na Wydziale Architektury Politechniki Krakowskiej. Był członkiem Związku Polskich Artystów Plastyków. Skala działań Wojciecha Barylskiego była bardzo duża – ekslibris, medalierstwo, malarstwo.

Artysta zaprojektował, według pomysłu M. Przeniosło i K. Świtały, serię piętnastu medali nawiązujących do sześćsetlecia Jasnej Góry. Serią jasnogórską obdarowany został Papież Jan Paweł II.

Wojciech Barylski uczestniczył w licznych wystawach krajowych oraz zagranicznych: w Niemczech, Holandii, Austrii, Francji, Szwecji, Danii, Hiszpanii, Portugalii, Bułgarii, Kanadzie, Indiach. Prace artysty znajdują się w posiadaniu wielu muzeów i instytucji m.in.: w Królewskiej Akademii Sztuk w Sztokholmie, Muzeum Narodowym w Warszawie, w Ossolineum, w bibliotece w Cambridge, w muzeum w Malborku i Częstochowie oraz w Muzeum Medalierstwa we Wrocławiu. Zdobył wiele nagród i wyróżnień.

Halina Poświatowska urodziła się 9 maja 1935 roku w Częstochowie. Jest autorką trzech tomików wierszy, tomu prozy wspomnieniowej, bajki dla dzieci, jednego opublikowanego dramatu i obszernego zbioru listów. Wiersze pisała od dziewiątego roku życia. Przebyta pod koniec wojny angina przerodziła się w zapalenie stawów, a później w ciężką chorobę serca. Choroba wymagała leczenia szpitalnego. Poświatowska bezustannie przebywała w szpitalach Krakowa, Warszawy, Poznania. Stan zdrowia poetki pogarszał się z roku na rok. Dzięki pomocy prof. Juliana Aleksandrowicza i przyjaciół ze Stanów Zjednoczonych, Poświatowska wyjechała za ocean, aby poddać się operacji serca.

W czasie pobytu w Stanach studiowała filozofię i logikę w Smith College w Northampton. Po powrocie do kraju podjęła studia na Uniwersytecie Jagiellońskim na Wydziale Filozoficzno- Historycznym, a po ich ukończeniu objęła asystenturę w Katedrze Filozofii Przyrody.

W roku 1962 poetka została przyjęta do Związku Literatów Polskich.



Jednak chore serce nie pozwalało jej normalnie żyć. Zdecydowała się na powtórny operację w Warszawie. Niestety, osiem dni po operacji Halina Poświatowska zmarła. Spoczęła w rodzinnym grobowcu obok męża Adolfa Ryszarda i siostry Elżbiety.

Władysław Nagłowski ur. się 29 sierpnia 1892 roku w Częstochowie. Był synem znanego drukarza, księgarza i wydawcy Tomasza Antoniego Nagłowskiego. Uczył się zawodu drukarza u swego ojca, a także przebywał na praktyce zawodowej w firmie wydawniczej w Paryżu. Po śmierci ojca, Władysław oraz jego młodszy brat Jan utworzyli spółkę – „Wł. Nagłowski i S-ka”. Przy Al. NMP 35 uruchomili księgarnię, w której sprzedawali książki wydawane przez siebie oraz inne drukarnie. Po ojcu przejęli również intrologatornię.



Od momentu śmierci brata Jana, zamordowanego przez hitlerowców, firmę samodzielnie prowadził Władysław. W Częstochowie Władysław Nagłowski był postacią znaną, cenioną i szanowaną. Wydawał książki o tematyce regionalnej, a także drukował książki dla dzieci i młodzieży. Utrzymywał liczne kontakty ze znanymi polskimi pisarzami. Spod prasy Władysława Nagłowskiego wyszła również książka Zofii Kossak-Szczuckiej „Z otchłani”. Firma przetrwała do roku 1950. □

Oprac. i fotografie Barbara Szymańska

Ważny jubileusz

Wypij echo zielonej szklanki
napiszesz wiersz,
słowa będą zakwitać jak kwiaty,
nawet fugi wyjątków z gramatyki
nie zabrzmia drętwo
a kępki zdań
z którymi nie umiałeś sobie poradzić
gładko rozczesze wiatr.

T. Chabrowski
(wiersz z tomiku „Miasto nieba i ziemi”)

Tadeusz Chabrowski w tym roku obchodzi 40-lecie pracy literackiej. Mimo, że od kilkudziesięciu lat poeta mieszka i tworzy w Stanach Zjednoczonych, jest ciągle obecny w poezji polskiej.

Kim naprawdę jest Tadeusz Chabrowski?

Autorem kilkunastu tomików poetyckich, animatorem życia kulturalnego i literackiego wśród Polonii Amerykańskiej, prezesem Centrum Polsko-Słowiańskiego, największej organizacji polonijnej w Stanach Zjednoczonych, filozofem, optykiem. A przede wszystkim jest mądrym i skromnym człowiekiem, życzliwie usposobionym do ludzi i świata. Na co dzień pracuje w swoim zakładzie optycznym w Brooklynie.

Życiorys Tadeusza Chabrowskiego jest nie mniej ciekawy i interesujący niż twórczość.

Urodził się 11 listopada 1934 roku w Złotym Potoku koło Częstochowy. Dzieciństwo i młodość spędził w Częstochowie. Mieszkał nieopodal Jasnej Góry. Początkowo przy ul. św. Barbary, a później przy ul. Kordeckiego 13. Studiował filozofię i teologię w Instytucie św. Pawła w Krakowie. W roku 1960 przyjął święcenia kapłańskie w Zakonie Ojców Paulinów na Jasnej Górze. Pod koniec 1961 roku wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Przez siedem lat przebywał w ośrodku Amerykańskiej Częstochowy, w którym to był redaktorem dwujęzycznego miesięcznika maryjnego „Jasna Góra”. Do Polski już nie powrócił. W roku 1967 opuścił Zakon i podjął studia na Katolickim Uniwersytecie w Dublinie oraz w Fordham University w Nowym Jorku. Po ukończeniu studiów na krótko zamieszkał w Fi-

ladelfii, a następnie w Nowym Jorku. Z miastem tym związany jest do dnia dzisiejszego.

Zadebiutował w roku 1960 na łamach „Tygodnika Powszechnego”. Szybko osiągnął sławę poetycką. Nakładem londyńskiej „Oficyny Poetów i Malarzy” ukazały się dwa zbiory jego wierszy: „Madonny” (1963 r.) i „Lato w Pensylwanii” (1965 r.). To właśnie za „Lato w Pensylwanii” i za współautorstwo „Słów na pustyni” – antologii współczesnej poezji kapłańskiej ze wstępem Karola Wojtyły, otrzymał dwukrotnie prestiżową Nagrodę Fundacji Kościelskich w Szwajcarii. Od kilkudziesięciu lat poeta dość regularnie publikuje swoje wiersze. Odnaleźć je można w zbiorach poetyckich: „Drzewo mnie obeszło” (1973), „Wiersze” (1975), „Drewniany rower” (1988), „Panny z wosku” (1992), „Nowy drewniany rower” (1993), „Miasto nieba i ziemi” (1994), „Zakwitnę wieczorem”, „Gałąź czasu” (1997), „Kościół pod słońcem” (1998). Tadeusz Chabrowski bardzo starannie i dokładnie dobiera ilustracje do swoich utworów. Tomiki poezji wzbogacone są ciekawymi i pełnymi wyrazu ilustracjami znanych artystów: Rafała Olbińskiego, Janusza Kapusty, Jana Głowackiego, Zofii Kopel-Szulc i Katarzyny Czerpak.

Wiersze Tadeusza Chabrowskiego były publikowane także w wielu czasopismach literackich m.in. w londyńskich „Wiadomościach” i paryskiej „Kulturze”. Poeta od kilku lat systematycznie współpracuje z nowojorskim „Przeglądem Polskim”. Jest laureatem wielu nagród amerykańskich m.in. World of Poetry Press oraz laureatem Nagrody Prezydenta Miasta Częstochowy w dziedzinie literatury za rok 1993. Chabrowski jest poetą wysoko cenionym przez krytyków literatury.

Myślę, że ten znaczący Jubileusz przyczyni się do powstania kolejnych tomików poezji. Wiersze Tadeusza Chabrowskiego są potrzebne. Zmuszają do zadumy oraz zastanowienia się nad sensem życia i nad tym, co tak naprawdę w nim jest ważne. □

Barbara Szymańska



Markus Steffen (Szwajcaria) – z wystawy „Miniatura...”

poezja turniejowa

KATARZYNA SIWEK

* * *

Trudno syneczku
zostałeś poetą
więc
żyw się sam
i nie odwiedzaj nas
już dawno z tatusem
postanowiliśmy cię
wykląć
Babcia przez ciebie syneczku
ma ataki migreny
cierpi na bezdech
my też się martwimy
zawsze byłeś
słabowity
Synku wróć
daliśmy na mszę
będziemy się modlić
byś znów stał się
c z ł o w i e k i e m

Dwa style

Pierwszy powakacyjny Turniej Jednego Wiersza odbył się zwyczajowo w ostatnią środę miesiąca (wrzesień) w lokalu „Gaude Mater” i tym razem wyłonił aż dwóch zwycięzców, a raczej dwie zwycięczynie. Jury (Ryszard Sidorkiewicz, Waldemar Gaiński, Tadeusz Gieryski) I nagrodę przyznało Katarzynie Siwek za wiersz bez tytułu, zaczynający się od słów „Trudno syneczku”. Wyróżniło natomiast utwór „Spełnienie”, którego autorką okazała się Wioletta Grzegorzewska.

Oba utwory różnią się od siebie diametralnie. „Spełnienie” Grzegorzewskiej, to wiersz kulturowy, nawiązujący do znanego mitu starogreckiego. Cechuje go dobry warsztat i ciekawa metaforyka. Katarzyna Siwek zaś pisze prosto, jasno, bez symboliki, sięgając nie do bogów, lecz świata realnego dramatów ludzkich, życiowych, dziejących się w rodzinie. Ekspresyjna wymowa i jakby programowy antyestetyzm. /y/

WIOLETTA GRZEGORZEWSKA

Spełnienie

kiedy wykluje się
łabędź we mnie
rozchylę noc skrzydłami
przeklnę księżyc
ukryty przed Herą
nie zabłądzę

Leda wyznaczy
zapachem ścieżki
rozpali pochodnie
na powitanie

nie odkryje zdrady Tyndareos
nie obudzimy Sparty
poza czasem będziemy
drażnić powietrze i ciemność
chwiejącą się między nami

zostanę w niej
a ptak we mnie
aż do pierwszego
krzyku dziecka



Tadeusz Gieremski

* * *

Afrodyte na powrót pogrąża się w morzu –
widzę jeszcze jej twarz
i błyszczący rąbek ramienia

Szalona

Wleciała do biblioteki
eks-nauczycielka
sezonowa pensjonariuszka zakładu
dla umysłowo
uskrzydłonych
urodzoną jak ja
pod znakiem Bliźniąt

Usiadła wstała
już jej stopy
nie dotykają Ziemi
unosi się pod sufity
śpiewając czeską piosenkę –
płynie w powietrzu
nad krzesłem biurkiem
nade mną nad światem
jak u Chagalla

Ląduje w moich oczach
zamykam ją powiekami
i jak świetlika przenoszę
na gałąź wiersza

Step

coraz mniej u mnie pięknych przysłów
coraz mniej plastikowych konstrukcji
więc się boję że w końcu płowieję
jak step jednostajnie wyblakły
wypalony ocean ludzkiego mówienia –
nawet sęp zawiedziony odzegluję
tylko białe rozrzucone domino
tylko kość co dźwigała farysa

Kładka

zatem zbudujmy proscenium
z przeciwnej strony
od kulis
niecierplivej widowni nic
nie ujawniając
albowiem odwijamy szpulę czasu
wracamy do Edenu –
już słyszeć bębny dzieciństwa
radosne krzyki adamów i ew

z niebieskich przestworzy
zwanych w języku ideologii
absolutną próżnią
zlatują na żer umarli

pewna dziewczyna
tj. zagęszczony słup powietrza
która w 1945 raptem przestała
istnieć z powodu galopujących suchot
zbliży się do nas
jakby w podwójnym wymiarze
trzymając w lewej ręce
swą fotografię

wciąż ongiś pijany sprzedawca gazet
ośliniony karzeł
któremu nogi obciążł tramwaj
kuśtyka teraz przez horyzont
ogromny jak słońce

dwie przyrodnie siostry
śmieszne dziewczynki z biedronkami piegów i
mysimi warkoczykami
(które z dziecięcego pokoju zeszyły
wprost w grudniowy przerebel)
też mitrzą w drodze
goniąc motyla na kładce śmiertelnej
przysposobionej naprędce do
zielonej łąki

natomiast mój ojciec
w ułańskim czako
podpierając się laską
zakończoną Wężym zygzakiem
zbliży się do mnie
stanowczo i szybko

za chwilę wejdzie
w moją zakrzywioną nicość



poezja śpiewana

Gram, bo lubię

Rozmawiam z Rafałem Nowakowskim, młodym (28 lat) gitarzystą, który od pewnego czasu regularnie koncertuje w niektórych pubach Częstochowy.

– **Jaką muzykę grasz?**

– Różną. Od progresywnego rocka po muzykę klasyczną, jazz, blues i folk. Staram się łączyć różne trendy muzyczne.

– **Grasz sam czy z zespołem?**

– Ogólnie robiłem materiał na solową działalność, ale do realizacji całego projektu będę potrzebował pomocy osób towarzyszących. Gram pod pseudonimem artystycznym „Bedu”. Tak trochę po arabsku.

– **Od jak dawna grasz?**

– Jestem samoukiem. Na pudle gram od szesnastego roku życia. Zaczynałem od Stachury, Starego Dobrego Małżeństwa i Bukowiny, czyli poezji śpiewanej. Później wciągnęli mnie ludzie ze świata rockowego w cięższą muzykę. Zacząłem krzyczeć i bardziej ekspresyjnie podchodzić do muzyki. Grałem nawet w zespole hard-core'owym „ZAR”. Dlatego dzisiaj gram w ten, a nie inny sposób.

– **Wykonujesz wyłącznie swoją muzykę?**

– Swoją, poprzeplatana standardami. Ale tylko na koncertach. Na płycie będzie tylko moja muzyka. Wielu twórców jest mi bliskich np.: Meola, Pearl Jam, U2, lecz są to okresowe fascynacje, zależne często od pory roku, nastroju.

– **Grasz w klubach...**

– Gram w miejscach, gdzie spotykają się ludzie, żeby posłuchać muzyki kameralnej, mniej krzykliwej, stonowanej. Gram rzeczy proste, nie drażniące, mniej zakręcone, ale w studio wolałbym nagrać coś bardziej progresywnego. Spotkać mnie można w „Grocie” i „Irish Pubie”.

– **Mówiłeś coś o płycie...**

– Chciałbym ją nagrać. Liczę na wsparcie Urzędu Miejskiego. Realizowałbym ją w Edycji św. Pawła, bo pracuje tam Andrzej Zieliński, z którym mam dobry kontakt. Jest niezłym reżyserem dźwięku.

– **Twój wygląd jest mylący. Nie wyglądasz na nadwrażliwca. Pracujesz jako ochroniarz, masz łysą głowę. Czy to się w tobie nie kłóci?**

– Bardzo mi się kłóci, ale to jest proza życia. Muszę jakoś zarabiać. Wolałbym wykonywać muzykę, rozwijać się artystycznie niż łapać złodziei czy używać przemocy. To duży kontrast. Tak naprawdę jestem łagodnym człowiekiem.

– **Czy masz jakieś osiągnięcia?**

– Wyróżnienie na Famię, na Święcie Muzyki w Mykanowie, drugie miejsce jako zespół „Bad Music” w roku 1997 w Częstochowie. Później miałem przerwę związaną ze zdrowiem. Staram się kontynuować to, co zacząłem.

– **Jak widzisz swoją pozycję w mieście?**

– Znam ludzi, ludzie mnie znają. Trzeba sobie pomagać. Różnice wiekowe nie grają roli. Liczy się to, że coś chcesz zrobić, coś po sobie zostawić, no i sztuka.

– **Dlaczego grasz? Życie barda nie należy do łatwych...**

– Mam satysfakcję, że mnie ludzie miło traktują, bawią się, żywiołowo reagują. I o to chodzi. Lubię bliski kontakt z publicznością, z którą mogę pogadać. Mam już swoją małą publiczność. Lubię to, co robię. Ludzie potrzebują melodii, spokoju, a czasami ekspresji. Wtedy biorę gitarę elektryczną i gram ostrzej. Zawsze inaczej dobieram repertuar.

– **Twoja dewiza życiowa...**

– Uśmiech. Nigdy nie należy się poddawać.

– **Dziękuję za rozmowę.**

(rozm. sb)

SŁOŃCE

Wstało
I jest,
Tak potężne i niewymierne
Jak zawsze,
To my kręcimy się,
A ono w miejscu,
Tak jak pewne,
Że umrzemy.
Ja wstaję
I ja zachodzę,
A gdy noc
To rozchyłam
Chmury,
Jak tylko mogę
By mieć przestrzeń
I być w błękiecie,
Bo ono jest
W miejscu
Jak zawsze.



fot. Izabela Banaszkiewicz

Baśnie i legendy

Ponieważ zbliża się koniec roku i pora świąteczno-zimowa, pozwalam sobie przypomnieć książkę, która umknęła mojej uwadze w roku ubiegłym: „Baśnie i legendy ziemi częstochowskiej czyli Diabelskie Zakusy” autorstwa Krystyny Musiał-Nicpoń. Pani Krystyna wychowywała się w Częstochowie, ale w 1946 roku wyjechała z rodzicami do Wałbrzycha, gdzie się uczyła, pracowała, wyszła za mąż za swojego ziomka – Stefana Nicponia. Oboje tęsknili za rodzinnymi stronami i w rozmowach często wracali do wspomnień z lat dzieciństwa. Wtedy właśnie mąż autorki opowiadał baśnie, które kiedyś słyszał od swojej babci. Urzekły one panią Krystynę ludową mądrością, poczuciem sprawiedliwości, humorem, a także tajemniczą fantastyką. Nie były nigdzie zapisane i dlatego z obawy, aby nie zostały zapomniane, na ich podstawie autorka napisała książkę, którą zadedykowała pamięci swojego męża.

Trzeba zauważyć, że folklor jurajski jest jeszcze niezbyt dobrze znany szerszej publiczności. Jak na razie kilka lat temu ukazał się zbiór legend w opracowaniu B. Snocha. Baśniom można zarzucić, że praktycznie pasują one do każdego regionu w Polsce, gdyż niewiele w nich odniesień topograficzno-geograficznych. Nie ma sensu posądzać autorki o fałsz, gdyż takowych w legendach być nie musi. W tym przypadku liczy się mądrość ludowa, anegdota, ludowe przeświadczenie w istnienie diabłów, czartów i opatrności. Tak jak trudno mi odróżnić strój ludowy spod Wielunia od stroju z rzeszowskiego, tak mam problem ze zlokalizowaniem regionu, z którego pochodzą baśnie. Nie przeszkadza mi to jednak aż tak bardzo, gdyż walorem czytelnictwem jest ich zrymowanie, co jest niewątpliwą zasługą autorki, a w połączeniu z tematem, zdecydowanie wyróżnia ją spośród innych twórców w mieście.

Książka jest bogato ilustrowana (grafika Agnieszki Leśniak), kolorowa (widziałbym twarde okładki) i polecam ją nauczycielom do korzystania na lekcjach języka polskiego. □

(sb)

„Baśnie i legendy ziemi częstochowskiej czyli diabelskie zakusy”, Krystyna Musiał-Nicpoń, wyd. WOM w Częstochowie, 1999.

DIABEŁ W KARCZMIE

Inny diabeł nieco starszy
Trafiał wprost do karczmy,
Było tu parno i gwarno,
Wszyscy jedli, pili,
Fajki palili i tańczyli.
Rozgląda się diabeł wkoło
I zrobiło mu się wesoło.
Bo oto tam, w kącie, przy stole
Siedzi samotne, speszzone pacholę.
Przysunął się do niego blisko

I każe mu zamówić piwo.
Chłopiec się tłumaczy,
Że pieniędzy nie ma, żeby mu wybaczył...
Diabeł się śmieje
I śpiącego pokazuje:
Widzisz tego na ławie leżącego?
Tęgo grubasa bogatego?
Myślisz, że wygląda mu podszewka?
Nie, to pełna talarów sakiewka!
Idź i ukradnij,
Tylko nie „wpadnij”!
Chłopiec go posłuchał
I rozkaz wykonał.
Diabeł go chwali: ot, jesteś chwat,
Tyś jest już mój brat!
A teraz hulaj dusza nasza,
Jedz, pij i popuszczaj pasa!
Wołaj tę młodą karczmarkę
I zrób z niej swoją kochankę.
A gdy wypili wszystko wino
I z głów dobrze im się „kurzyło”
Diabeł rzecze:
- Słuchaj człowiecze,
Ty z karczmarką pohulaj,
W tańcu ją pocałuj, przytulaj.
Już kapela gra oberka
Chłopiec na barmankę zerka.
Do tańca ją prosi
I w ramionach unosi.
Barmanka śliczna i młoda
Do tańca skora,
Śmieją się jej oczy i usta,
Ale zobaczył ich jej mąż tłusty
I spoziera z ukosa
Na zuchwałego młokosa.
Włos mu się ze złości jeży
I już do nich bieży.
Utrzaśniętą butelką się zamierza,
A diabeł chłopcu w rękę wciska noża
I mówi: „Nie zwlekaj,
Uderz pierwszy, nie czekaj”.
Chłopiec zadaje w serce cios.
Z piersi karczmarza dobywa się chrapliwy głos.
Jego dusza ulata w zaświaty...
A chłopiec widzi świat – przez kraty...

Rys. Ryszard Osadczy „Radość”, 1989



„Latający lekarz”

Tę premierę miałem okazję oglądać na ulicy, prawie na bruku, podczas Dni Częstochowy 1.IX. Wieczór był ciepły. Będąc pod wrażeniem teatrów podwórkowych („Na bruku” z Wrocławia i „Akt” z Warszawy), gdzie gra arlekinów, mimów, goryli wyrażana była gestem i gwizdkami – czułem się nieco jak w cyrku – doglądałem naszych wspaniałych aktorów oczekując jakiejś niespodzianki. Scena Inicjatyw Aktorskich – to brzmi nieco tajemniczo... Grupa aktorów pod ręką Marka Ślosarskiego wkomponowała się jednak w ogólny nastrój ludycznej zabawy i nieczęsto graną sztukę Moliera pt. „Latający Lekarz” zagrała w rytm wesołych melodii podrywających do tańca (także widzów). Fabuła jest bardzo prosta: służący (kawał spryciarza i łajdaka) podaje się za lekarza i gra od tej pory przed swym panem dwie role, koczując przy okazji parkę na ślubnym kobiercu. Rokokowe podskoki, śmiech i blazenada mogły momentami przypominać komedię del’arte (choć ją nią nie było). Beztraska frywolność i wesoła satyra na zawód lekarski przyciągnęła spory tłumek na Plac Biegańskiego pod scenę. Zastanawiam się: czy nie tak grano pierwotnie te sztuki? Przed rozdziewiającą gębą gawiedzią? Przecież nie zawsze trafiały one na dwór, gdzie niekiedy były już specjalne sale przygotowane na takie przedstawienia. Jestem zdecydowanie za wyprowadzeniem sztuk i aktorów z ponurych gmachów teatrów do ludzi, których większość nie miałaby okazji obejrzeć widowiska. Dla niejednego był to odpust – jedyny na cały boży rok. „Dziady” można by zagrać w więzieniu na Zawodziu, a „Kordiana” na hałdach koło Blachowni...

Druga rzecz, która mnie poruszyła, to niesamowita aktualność komedii, mimo kostiumów przypominających teledysk „Bal wszystkich świętych” Budki Suflera.

W pewnym momencie za plecami widzów przejeżdżała karetka pogotowia na sygnale i pojawił się komentarz: „Oho, jedzie latający lekarz”. Sytuacja spontaniczna, która nie zaistniałaby w teatrze. Tytuł sztuki na chwilę przeniknął do potocznego języka... Aluzja nie jest bezpodstawa, gdyż mentalność ludzi nie zmienia się przez wieki, a lekarze w dalszym ciągu ulegają pokusom łapówkarstwa. I dzisiaj poklask znajdują różni uzdrowiciele i cudotwórcy. Receptą u Moliera na „lekarzowanie” jest częste powoływanie się na Hipokratesa i Gallena (prawie jak u Reja), wyszukane gadulstwo i dystygowany strój. Pseudo-lekarz zdobywa szacunek, gdy udaje mu się szybko uśmiercić ciężko chorego. Czarny humor godny XVII wieku. Oczywiście czasy są odległe i nie można porównywać poziomu medycyny wczoraj i dziś. Nie zmienił się jednak stosunek do lekarzy: nadal są jedną z najbardziej nielubianych grup zawodowych, a na ich temat powstaje ciągle wiele dowcipów (przychodzi baba do lekarza...) i pomówień.

Aktorzy częstochowscy – przyznaję – bardzo mi się podobają i cenię ich za talent komediowy. (Bardzo się

ostatnio ucieszyłem, gdy w „13 Posterunku” zobaczyłem Adama Hutyrę w epizodycznej roli. Chyba w tę stronę trzeba iść.) W rolach firyków, oszustów, naciągaczy radzą sobie doskonale i publiczność częstochowska jest w stanie ich polubić. Dobrym posunięciem jest też pchnięcie Marka Ślosarskiego w stronę reżyserii (następna premiera to „Z pamiętnika wariata” Gogola). Fakt ten z pewnością poprawi atmosferę w teatrze i pozwoli zapomnieć o niesnaskach personalnych z czasów H. Talara. □

(sb)

„Dziennik panny służącej”

Monodram jest dla aktora gatunkiem trudnym do zagrania. Gra on role kilku osób i skazany jest na kontakt indywidualny z publicznością. Łatwo się pogubić, widz nie zawsze nadąży za biegiem akcji, żonglerką postaci. Z tym problemem doskonale poradziła sobie Joanna Żółkowska, warszawska aktorka znana m.in. z telenoweli „Klan”. W „Dzienniku panny służącej” Octave Mirbeau w reżyserii Roberta Glińskiego, wcieliła się w postać Celestyny – pokojówki urzędującej w drobnomieszczańskich domach początku XX wieku. Swoją historię zaczyna opowiadać od nocnej awantury i ucieczki z restauracji, by po streszczeniu swojego życia wrócić do owego przybytku rozpusty. Celestyna – kobieta złośliwa, bezczelna, ale i obdarzona poczuciem humoru, a nade wszystko kierowana pragnieniem wybicia się, zmieniała pracę często, więc i doświadczeń miała wiele. W swej karierze służącej niejednokrotnie trafiała na zbrojeńców i degeneratów, dziwaków, dewotów i nacjonalistów. Podejrzewam, że taki przekrój francuskiego społeczeństwa mocno bulwersował opinię sto lat temu. Kapitałne są sceny z łaściczką, czyszczenia bucików i sreber. Srebra z czasów Ludwika XIV stały się kluczem do zmiany. Zrabowane właścicielom dały możliwość wykupienia tawerny, przed którą rozgrywa się cała drama. Biologizm, naturalizm i skandalizm – nieustannie we wspomnieniach bohaterki przewija się motyw włochatego samca, któremu trudno się oprzeć. Celestyna swój erotyzm podkreśla kilkakrotną zmianą bielizny. Sfera cielesna odgrywa w jej życiu ważną rolę, prawie jak w „Nanie” Zoli. Dziś służących nie ma, więc świat tej sztuki, aczkolwiek drapieżny i wynaturzony, pachnie trochę retro. A mieszczaństwo ma to już do siebie, że po okresie względnej stabilizacji ulega w końcu zwyrodnieniu. Cóż – samo życie, a ono nie jest piękne. Celestyna, kiedy jest już współwłaścicielką szynku, traktuje swoich pracowników jeszcze bardziej surowo niż sama tego doświadczyła na własnej skórze. Szkoła życia, gdzie liczy się tylko kasa, ubaw i instynkt zdobywania. Kopcuszek zostaje księżniczką... Sztuka nie tylko dla kobiet. Druga premiera września. □

(sb)



Fot. Piotr Dhubak



XXIII wiek. Finały Mundialu Układu Słonecznego na Wenus. Planeta miłości życzliwie przyjmuje gości: śrubbookich Jowiszian, płaskogłowych Saturnian, czerwonoskórych Marsjan, zrogowaciałych Uranian, pospolitych Ziemiaków. Neptunianie nie rozstają się z podręcznymi widłami. Rozgrywki systemowe: każdy z każdym. Ciężenie piłki nieco mniejsze od tradycyjnego, więc wykonano ją z czystej stali nierdzewki. Żaden incydent, jak do tej pory, nie zakłócił spokoju turniejowego, poza powstaniem bezdomnych na dworcach lotów kosmicznych w Critoris. Kwarcowe krzesła na stadionie „Loversów” wypełnione są po brzegi. Cały galaktyczny plankton wygrzewając się na trybunach i zajądając solone mineral-dogi, swoim niespokojnym wierceniem miednicy zasila jednocześnie miejscowy system ciepłowniczy. Jest to dar dla ofiar niedawnego trzęsienia skorupy na tej planecie od Federacji Bezmózgich Meteorycian. Zyski z całej imprezy gospodarze i tak już przeliczają w entylionach parsekodolarów. Sędzia Ostateczny Jahve d'Eyaculation dał podświadomy sygnał rozpoczęcia gry w tym ostatnim meczu.

Chromosomy graczy pracują. Neurony kontrolują połowę przeciwnika. „Więcej miłości zawodnicy!” – ostrzega arbiter liniowy, obywatel Oriona, i pokazuje karteczki z czerwonymi serduszkami. Między bramkarzami dochodzi do krótkiego stosunku przerywanego. Miłe dla oka gesty fair play publiczność nagradza oklaskami. Piorun z atmosfery skoncentrowanej nad stadionem poraził fotokomórkę, lecz to wszystko ginie przy absolutnej rewelacji wieczoru: na niebie rozbłyska wybuch absolutnie nowej supernowej. Najpóźniej jutro planeta Wenus przestanie istnieć w sensie materialnym. Cóż za wspaniały fajerwerk! Trzy minuty minęły, a więc koniec pierwszej połowy. Temperatura jest o jakieś 100 stopni za wysoka, aceton unosi się w powietrzu. Relację wznowimy po przerwie, a teraz prosto z wnętrza ciała niebieskiego buchają opinie specjalistów. Kamera proszę do studia.

– Poprzeczka jest o jakieś trzy metry za wysoko ustawiona. To utrudnia skok w dal, jak niegdyś Kusocińskiemu.

– To niedopuszczalne, żeby na pływalni hodowano rozwielitki. Otóż te żyjątka utrudniają widoczność- pod wodą.

– Trudno nazwać „wodą” roztwór kwasu meblowego.

– Zwrócili państwo uwagę, że Taboręty zajmują cały dziewiąty sektor i mimo to nie dochodzi do bójek z sąsiadującymi Krześlanami?

– Mecz powinien być powtórzony, bo u trójnożnych brakuje laufra i wieżyczki. Przeciwnik zastosował nieuczciwą roszadę Arachidowa.

– Pod numerem 0-700-5463872984765683-846587658602717436 przyjmujemy państwa typy na wynik meczu. Przypominam, że zwycięzcami konkursu będą osoby, które odgadną minuty strzelenia bramek. Proszę mówić ogólnie zrozumiałym językiem migowym.

– Ja nie rozumiem, dlaczego w pierwszym składzie nie zagrał Benito Mussolini XXVII? Niedawne urwanie kończyny dolnej w wypadku powietrznym nie było wcale taką groźną kontuzją.

– Podajemy wynik ustalony przed meczem między trenerami drużyn. 3,14:4,82. A teraz reklamy:

§ „NIE CHCĘ PIŁKI, NIE CHCĘ KASZY
§ BABCIA MNIE ZAGŁADĄ STRASZY”

I oto już oficjalny sygnał mistrzostw: tarta-ta-ta-ta-bum-bam-pam-pam-trach! Na podglądzie widzimy jeszcze dwa efektowne, acz nieskuteczne rzuty karne i, w zwolnionym tempie, efektowną wywrotkę na budowie. Ale i oto druga połowa, gwizdek i gra do pierwszego gola. Ambulans ma pełne ręce roboty. Wszystkie cztery bramki obłożone. Oczywiście dwie są od niedawna wirtualne. Sam się już niekiedy gubię w zmianach wprowadzanych dla uatrakcyjnienia rozgrywek. Pada strzał ze snajperki z dziewiątego sektora! To Taboręty! Bramkarz Wenusjan legł w kałuży krwi. Krew momentalnie paruje z tartanowej nawierzchni. Proszę państwa, co to się dzieje... Zamieszki na stadionie. Sędzia nie zatrzymuje gry, niczego zresztą nie zauważył. Strzał i goal! Gooooooooooooooooooooo! Bramkarz otrzymuje za niesportowe zachowanie perłową kartkę wartą w Emiratach co najmniej pięć milionów dolarów. Musi jednak opuścić boisko. Podjeżdża karawan pogrzebowy i już pędzi z postrzelonym zawodnikiem do krematorium. Kto otrzyma Puchar Minneta? Ziemiakowie! Tak właśnie. Pospolici, mocno już zdegenerowani mieszkańcy szarej jak siwy dym planety po raz pięćset-osiemset-dwusetny otrzymują półtorakilową statuetkę wykonaną z najczystszej ciekłego azotu. Prawdopodobnie wypiją gaz od razu. Jaka radość na wypalonych twarzach mutantów. Wypluwają niepotrzebne już sterydy. Biegają do szatni, gdyż pojawił się ostro siekający fotonowy deszcz. Jeszcze wymieniają się podkoszulkami. Nagie, obfite biusty triumfalnie sterczą przed telebimami całego skolonizowanego wszechświata. Przewracają się. Nie powiem państwu co teraz robią, ale takie jest prawo zwycięzców. Cóż radość. Serpenty, konfetti. Stadion huczy, ale na murawę wbiega prezes FIFKA z dyskietką w ręce. Krótka dyskusja z sędziami i mecz unieważniony. Zaczął się o godzinę za wcześnie. Falstart. Zaszła pomyłka w kalendarzu wenusjańskim. Mamy rok przestępny i mecz powinien odbyć się jutro. Dzisiejszego dnia w ogóle nie ma. Co my tutaj robimy? Co ja będę państwa dłużej zanudzał – idę na Sylwestra. Od emocji geny mi się poprzestawiały. Kolega z sąsiedniej kabiny porozumiewawczo stuka się w gardło. Do zobaczenia jutro o tej samej porze.

Sławomir Burszewski

Pani doktor

– Podobało się?

Podciągnął spodnie, patrząc na nią z uśmiechem.

– Pewno.

Złożyła nogi i podniosła się ze ściółki. Przytrzymała zerwane ramiączko. Ten drugi ciągle grzebał pod otwartą maską jej mazdy. Zerkał na nią raz po razie.

– Właściwie, czemu nie mielibyśmy pojechać do mnie – powiedziała.

– Dziunik, słyszysz? – krzyknął w tył. – Lali się spodobało.

Ściszył głos. Zbliżył twarz.

– Masz mnie za frajera?

Wzruszyła ramionami.

– Jak chcesz. Ja mam jeszcze ochotę – uśmiechnęła się. – Dałbyś radę?

Pchnął ją. Wpadła na drzewo.

– Zamknij dziób.

Odwrocił się i podszedł do mazdy. Tuż obok stał zdezelowany, ale sprawny polonez.

– Co z tym gazem?

– Człowieku, jedźmy stąd.

– Spoko. Chce to dostanie. Nie tryknął byś sobie?

– Nie.

– Dziunik, przecież ona sama się prosi. – Zerknął pod maskę mazdy. – Jakaś lepsza. Takie to sobie lubią pofiglować.

Kobieta stała pod drzewem. Układała porwaną sukienkę. Podniosła głowę.

– Jestem gotowa – powiedziała.

Obleśny znów się uśmiechnął.

– Co z tym samochodem? – zapytał.

Dziunik złożył podpórkę i zatrzasnął klapę.

– Gotowy.

– Choź tu, lala.

Podeszła. Złapał ją za nadgarstek i poprowadził do poloneza. Otworzył drzwi.

– Wsiadaj. Pojedziemy naszym.

Usiadł obok. Dziunik patrzył na nią w lusterku.

– Gdzie? – zapytał.

– Prosto.

Ruszyli. Czerwona mazda została na poboczu.

Zabudowania zaczynały się kilometr dalej. Gdyby tu zerwała linkę, poszłaby po pomoc. Ale zerwała ją tysiąc metrów wcześniej. Była w szpilkach. Chciała wyglądać świeżo i ponętnie. Dziś miał być wielki dzień.

Związała się z wziętym psychologiem kryminalnym. Człowiekiem majątnym, inteligentnym, miłym. Poza rozlicznymi kontaktami, niezłą pensją i miłą powierzchownością, obdarzony był talentem opanowania w swojej niełatwej przecież pracy. Odreagowywał za to w domu.

Pierwszy raz, zbił ją w czasie procesu „Rzeźnika”, pół roku po ślubie. Zajmował się tą sprawą z ramienia obrony. Wertował akta. Oglądał zdjęcia. Był przy eks-humacjach. Opowiadał jej o tym, nie pomijając żadnych szczegółów. Wydało jej się nawet, że delektował się opisami zapachu, stanów rozkładu, sposobów zabijania.

Tamtego dnia miał wydać końcowe orzeczenie o poczytalności oskarżonego. Rozmawiał z nim w celi, sam na sam, przez trzy i pół godziny. Potem wrócił do domu. Rzucił nią po ścianach. Gwałcił.

Jego orzeczenie i argumentację uznała najwyższa instancja. Zdobył pozycję, stał się sławny. Wąska specjalizacja zapewniała mu spektakularne sprawy. Kolejne procesy utrwalały kompetencje. W dodatku miał przecież dar spokoju i opanowania.

Z początku próbowała się bronić, grozić, uciekać. Na próżno. Był prawnikiem – psychologiem, wiedział jak podporządkować sobie ludzi.

Ostatnio na jego działce pojawiło się kilku utalentowanych konkurentów. Przez pewien czas był spokój. Mogła okrzepnąć, zebrać siły. Oprzeć się sile strachu.

Dziś rano, stołeczna policja odnalazła trupa kobiety. Sposób zadawania śmierci, był taki sam jak w dwóch wcześniejszych przypadkach. Zadzwonili do niego przed południem. Wyjechał natychmiast.

W następnym wydaniu „Aktualności” podali szczegóły. Mignęła jej twarz męża.

Ubrała się w lekką sukienkę na ramiączkach. Umalowała się, spakowała walizki, wyprowadziła samochód. Była spokojna i opanowana. Jechała przez las, w stronę autostrady. Właśnie wtedy pękła linka od gazu.

Nie miała pojęcia o naprawie samochodu. Nie wiedziała dokładnie jak daleko do wioski. Poza tym – była w szpilkach. Oparła się o maskę i zapaliła papierosa.

Nawet nie machała na ten samochód. Wypadł zza zakrętu i od razu zahamował. Z środka wysiadł łysawy mężczyzna i oblepił ją obślizgłym spojrzeniem.

– Zepsuł się – powiedział.

– Tak.

– A panienska sama w lesie i bez narządek.

Znała tę twarz. Ten sposób mówienia. Wzrok. Wiedziała, co się za tym czai.

– Właśnie – odpowiedziała powoli.

Drugi mężczyzna siedział za kierownicą. Nerwowo przenosił wzrok z niej na ulicę i znowu na nią.

– Dziunik – powiedział Obłeśny nie odwracając głowy – napraw lali samochód.

Nie będę krzyżeć. Boże, żebym tylko nie krzyczała.

– Kolega reperuje, ja inkasuję utarg.

– Dobry podział – powiedziała łapiąc się na tym, że zasłania dekolt. Odsunął jej rękę. Drgnęła. Patrzył na piersi.

– Masz czym płacić – bardziej stwierdził niż zapytał.

– Mam pieniądze.

I znowu to spojrzenie. Przeszywający wzrok tuż przed uderzeniem. Nie uderzył. Położył jej dłoń na szyi. Była zimna i wilgotna. Wzdrygnęła się, ale zaświtała jej nadzieja. Pogładził ją.

– Podoba ci się?

Cisza. Ręka zatrzymała się

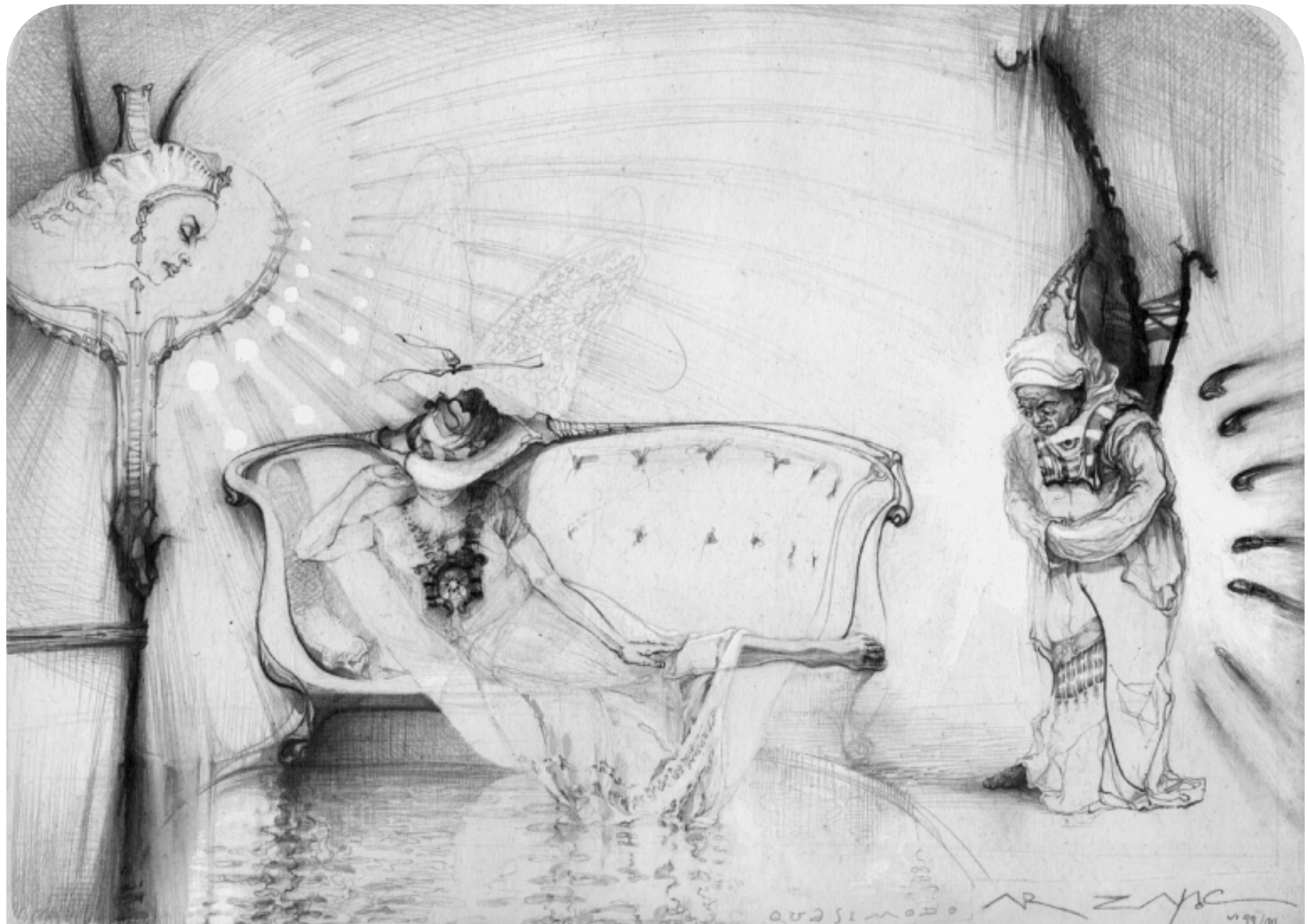
– Pytałem, czy ci się podoba.

– Tak.

Nalana twarz rozjechała się w uśmiechu. Ręka rozpoczęła wędrówkę.

– A ja ci się podobam?

– Linka gazu zerwana – powiedział Dziunik.





Rysunki Arkadiusza Zajgca: „Quasimodo”, „Zjawisko”, technika mieszana, 2000.

proza

– To ja, kurwa wymień! – Zaciśnięła dłoń na jej szyi, ściszył głos. – Poważna naprawa. – powiedział – kosztowna.

Zrobił krok do przodu. Cofnęła się. I jeszcze krok, i następne w stronę lasu. Przycisnął ją do drzewa. Narpał. Przez lekki materiał wyczuła erekcję.

– Nie zrób mi krzywdy – poprosiła. Ledwo rozpoznała swój głos. Ręka ześlizgnęła się na pierś. Zerwał ramiączko. Zbliżył twarz. Cofnęła usta.

Uderzenie było mocne. Głowa odskoczyła w tył i uderzyła o pień drzewa. Złapał ją za gardło. Podniósł rękę.

– Już – jęknęła zasłaniając głowę. – Przepraszam.

Stał na rozstawionych nogach z pięścią zawiśłą w powietrzu. Milczał. Powoli wyciągnęła rękę i złapała pasek jego spodni. Przyciągnęła go. Podniosła twarz. Wpił się w usta. Wilgotne ręce podciągnęły sukienkę. Rozchyliły pośladki. Zimno wdarło się między uda. Wtarnęło do wnętrza.

Zamknął oczy. Na gołą czaszkę wystąpił pot. W rozchylonych ustach trzepotał język. Sapał.

Spojrzała mu przez ramię.

Dziuniek wyciągnął jakąś część spod maski. Przyjrzał się jej, a potem spojrzał w ich kierunku. Kiedy złapał jej wzrok, odwrócił głowę i zaczął grzebać w samochodzie.

Odsunęła go lekko i położyła się na ziemi. Podciągnęła sukienkę na brzuch. Wypchnęła biodra.

– Chodź – powiedziała.

Opuścił spodnie wpatrując się między jej nogi. Uklęknął. Był tak podniecony, że musiała mu pomóc.

Zamknął oczy. Skończył szybko. Rozchylił usta i wydał z siebie krótki jęk. Podniósł powieki. Natrafił na przeszywający wzrok. Jeden z tych, które zapowiadają uderzenie. Ramiona ugięły mu się, ale utrzymał ciężar i wytrzymał spojrzenie. Rozluźniła rysy. Uśmiechnęła się.

Podniósł się na nogi. Leżała wśród opadłych liści i niskich paprotek. Nie wyglądała już tak elegancko. Zmierzwione włosy, porwana sukienka, rozrzucone nogi. Przez chwilę miał ochotę ją kopnąć, ale uśmiechnął się tylko i podciągnął spodnie.

– Podobało się?

*

Wjechali na podjazd. Nie pozwolił jej zamknąć bramy. Doszli do drzwi. Wyjęła klucze z torebki i otworzyła je. Dziuniek zaparkował.

– Nie gaś silnika – rzucił Oblesny. – Rozejrzę się.

Kazał jej zostać na zewnątrz. Wszedł do domu.

Stała między samochodem a fasadą. Patrzyła. Dziuniek kulił się jak zbite dziecko, kiedy nim potrząsać krzycząc:

– Nie płacz!

Oblesny wrócił po dłuższej chwili, wyraźnie odprężony. Położył jej rękę na ramieniu.

– Prowadź – powiedział.

Wprowadziła ich do salonu.

– Nieźle, nie?

Dziuniek podniósł głowę i mruknął coś pod nosem.

Oblesny padł na fotel. Włączył telewizor.

– Lala, jak ty masz na imię?

– Anna. A ty?

– Co to za laboratorium, tam – zapytał wskazując ręką.

– Gabinet. Jestem weterynarzem.

– Umówiłaś się z jakimś byczkiem?

– W niedzielę nie przyjmuję. Czego się napijecie?

– Wódki.

– A ty Dziuniek? – zapytała.

Rozbiegany wzrok nosił znamiona postępującej nerwicy. Chrząknął, ale nie odpowiedział.

Weszła za barek i wyjęła szklanki. Z lodówki wyciągnęła zmrożoną Żubrówkę i fiolkę z białym proszkiem. Wlała wódkę do szklanek i dopełniła sokiem jabłkowym. Później sypnęła pół łyżeczki proszku i zamieszała słomką. Odczekała chwilę, żeby się rozpuścił.

– To jak, Dziuniek – odezwał się Oblesny – trójką, kolejarz czy losowanie?

Dziuniek tarł ręce i kiwał się jak rumuńska matka.

– Jedźmy stąd, kurwa, człowieku.

Oblesny przyłożył mu dłoń do czoła i pchnął.

– Ty się znasz...

Podawała drinki.

– Lala jesteś wykwintna – powiedział Oblesny wyrzucając za siebie rurkę – chodź no tu...

Usiadła mu na kolanach. Dziuniek łapczywie sięgnął po drinka i przechylił go do dna.

– Chyba przyniosę całą butelkę – powiedziała.

– Przynieś. – Oblesny odstawił pełną szklankę. – Nie ma to jak czyściocha, nie, Dziuniek?

Wróciła za bar i wzięła Żubrówkę. Kiedy stawiała ją na stole, w telewizorze pokazali migawki z miejsca zbrodni. Głos lektora opisywał kolejny mord. Motywy te same co w poprzednich.

Oblesny oderwał się od ekranu. Sięgnął po butelkę. Nalał Dziuniewi. Spojrzał na swojego drinka i podniósł go do góry.

– Dziuniek nie w sosie, bo mu baba umarła – powiedział. – Jej zdrowie.

Przechylił szklankę. Skrzywił się. Nalał czystej do pustego szkła.

Odprężyła się. Uśmiechnęła. Pogładziła go po czaszce.

– To jak będziemy spali?

– Na wznak – zaśmiał się.

– Lubisz to, nie?

Oblesny przechylił szklankę.

– A ty, to niby nie?

Wstała i oparła się o bar. Patrzyła na ciała rozparte w fotelach.

– Matka mówiła mi, że to piękne i głębokie przeżycie, kiedy dwoje ludzi łączy się w jedno – powiedziała. – Byłam kiedyś z człowiekiem, który wiedział co to znaczy. Kochaliśmy się z otwartymi oczami. Wiecie jakie to uczucie? Zapomnieliście kiedyś o sobie, dla tej drugiej osoby? Budziliście się ze strachu, a potem przytulali, żeby usnąć spokojnie? Wiecie, co czuje gwałcona kobieta? Wbijacie swoje męstwo w najbardziej wrażliwe miejsce ze wszystkich. Ciepłe, przyjazne, miłe, dobre. Bijecie po twarzy, kopiecie. Wchodzicie tam bez miłości. Niszczycie życie. Gwałcicie to w czym ma się rozwijać. Ona nizuje się gumową lalą.

– Jezus – jęknął Dziuniek.

Oblesny zastygł z niewypowiedzianą obrazą na otwartych ustach.

– Nigdy nie dacie szczęścia kobiecie – mówiła dalej. – Dłatego wam powiem. To jest tak, jakby całe ciało, punkt po punkcie było obłożone kapsułkami energii. To jest napięcie większe niż najcudowniejszy z waszych marnych wytrysków. Ale przypomnijcie go sobie. To tak, jakbyście byli tuż przed nim. Może to trwać pięć minut, dziesięć, pół godziny. A wtedy każde dotknięcie to spełnienie. Każdy ruch przenosi na próg wielkiego, białego pokoju z balkonem na niebo.

– Nie podskakuj, lala. – Kłapnął dziobem Oblesny i wykonał ruch, jakby chciał wstać. Nogi nie utrzymały ciężaru. Okłapał w fotelu. I tylko patrzył. Opadały mu powieki, mętniały oczy, ale wpatrywał się w nią wzrokiem pełnym wściekłości i upokorzenia.

Dziuniak płakał.

Przeszła na korytarz. Ze schowka pod schodami wyciągnęła hydrauliczny wózek. Pchając go przed sobą wróciła do salonu.

Dziuniak leżał w fotelu z głową odrzuconą do tyłu, ze śladami łez zakrzepłymi na policzkach. Oblesny był przytomny. Trzymał się baru.

Kiedy weszła puścił blat i ruszył w jej stronę. Z trudem utrzymywał się na nogach. Oparł się o ścianę. Wyciągnął rękę. Odsunęła się. Dłoń opadła bezwładnie. Ruszył w stronę drzwi. Szła obok niego, patrząc jak nabrzmiewają żyły na jego szyi i skroniach, na ręce szukające oparcia. Na przygarbioną sylwetkę.

Chwytał sprzęty. Parł do przodu.

Zastąpiła mu drogę. Podniósł oczy. Jego wzrok był taki sam jak jej, gdy była bita. Zastanowiła się, co musiał czuć jej mąż, żeby widząc taki ból i strach, bić ją dalej i rozkładać na stołach. I znalazła to w sobie. Zimną rozkosz skurwysyna.

Oblesny rzucił się resztką sił. Bez trudu zeszła mu z linii. Upadł przy drzwiach. Już się nie podnosił.

Przyjechała po niego wózkiem. Opuściła hydrauliczny mechanizm i przeciągnęła go na platformę. Pojechała do salonu. Zrzuciła Dziuniaka z fotela i ruszyła w stronę gabinetu. Bezwładne ciała zsuwały się i musiała przystawać, żeby je poprawiać. W gabinecie zepchnęła Dziuniaka na podłogę. Podpompowała platformę wózka do poziomu stołu z odpływami na broczynę. Zapaliła laboratoryjną lampę. Przetoczyła ciało. Zdjęła mu spodnie. Z szafy wyjęła fartuch i założyła go. Otworzyła kasetkę z narzędziami. Rozłożyła je na pulpicie obok stołu. Umyła ręce i założyła rękawiczki.

Znalazła szarą taśmę do obklejania pudeł. Odgryzła kawałek i przykleiła penisa do brzucha. Umaczała wacik w spirytusie. Przemylała pole operacyjne. Moszna skurczyła się w odruchu obronnym. Sięgnęła po skalpel.

Nacięła skórę wokół, obrysowując linię podziału. Potem między jądrami, od korzenia po nasadę. Rozchyliła płaty skóry i sięgnęła do wnętrza. Przebiegała w płataninie żyłek aż znalazła grubszą niż inne. Była półprzezroczysta. Pełna płynu konsystencji kurzego białka. Wyciągnęła ją na zewnątrz. Na końcu rozchodziła się w płataninę naczyń otulających nagie jądro. Wyjęła je. Wyjęła drugie. Zaczęła od prawego. Przecięła nasieniowód i podwiązała go. Odnalazła żyłę odpowiedzialną za ukrwienie. Założyła zacisk. Przecięła.

Oczyściła mosznę i odcięła niepotrzebny już płat skóry. Zszyła kikuty żył nicią chirurgiczną i ułożyła je. Przy lewym, nacięła tkankę. Zaczął krwawić. Zatamowała. Odłożyła skalpel i sięgnęła po nici. Skórę moszny rozciągnęła na nasadę prącia. Przyszyla ją.

Przyjrzała się robocie. Gdyby nie pofałdowanie i kolor przeszczepionej skóry, można by nie poznać, że kiedykolwiek coś tam było. Powinno się szybko goić.

Spojrzała na Dziuniaka. Leżał skulony pod stołem. Sięgnęła rękawiczki i rzuciła mu na twarz. Zdjęła fartuch.

Wróciła do salonu. Nalała Żubrówki do szklanki i dopełniła ją sokiem. Włożyła słomkę. Siadła przed telewizorem. Sięgnęła po telefon. Wystukała numer.

W słuchawce odezwał się głos z taśmy. Czekwała na połączenie, opróżniając szklankę.

– Halo – odezwała się wreszcie. – Chciałam zgłosić gwałt.

Marcin Rumiński ze zbioru „Krwisty befszyk”

Spotkanie

Pociąg powoli zbliżał się do końcowej stacji, na której miałem wysiąść. Ostatni odcinek drogi był zawsze najgorszy – skład wagonów zatrzymywał się co kilka minut, później ruszał, by znów stanąć tuż przed ostatecznym celem. Silne, przejrzyste światło wewnątrz drażniło wzrok swoją żółtą bielą, powietrze było suche i duszne, a spod siedzeń biła fala nagrzanego ciepła. Odłożyłem *Opowieści galinowskie* i tępy wzrokiem spoglądałem przez okno na obskurne, przedmiejskie zabudowania. Szare, nędzne budynki wydawały się kłócić z barwnymi reklamami. Wyglądało to zgrzyliwie i ironicznie. Trójka rozbawionych podrostków stała na opuszczonej dreźnie i klnąc siarczyście obrzucała wagony bryłkami gliny. Czytałem przemykające napisy malowane sprejem na murach i blaszanych garażach, ciągnących się wzdłuż torów: LEGIA PANY, RAKÓW JUDE, JUZEK GUPI HUI ... co jakiś czas pojawiał się zwrot FUCK YOU, FUCK ME, HOLY FACK... Owe haselka przeplatane były przeróżnymi bohomazami, a najczęściej pojawiającym się motywem była pacyfka wolności i szubienica. Nieco ambitniejsze, barwne graffiti przypominały momentami rysunki Dubuffeta.

Okolice dworca mają swój urok i specyficzny klimacik. Klimat bliski pisarstwu Hłaski lub wczesnym filmom Kieślowskiego. Podmiejskie tereny dają pewien obraz marazmu życia, wszak Polska to nie Kraków i Zakopane, lecz raczej Koluśki i Szczekociny. Dojeżdżam do dworca. Przez megafon słychać niewyraźny głos damski mówiący coś, czego zupełnie nie rozumiem – istny bełkot. Pociąg hamuje wreszcie, wydając głośny zgrzyt połączony z piskiem. Wsiadam. Łomot w głowie i lekki ból zęba dają znać o sobie – jestem zmęczony. Zegarek wskazuje siedemnastą dwadzieścia – do spotkania jeszcze przeszło dwie godziny. Wraz z grupką ludzi, bez pośpiechu podążam w kierunku tryskającej fontanny i pomnika Kościuszki.

Moje życie przelatywało między palcami... co dalej? co dalej?! – pytałem samego siebie. Rozgoryczenie wraz z zadowoleniem to dwa stany towarzyszące mi w tej chwili. Dziś przecież miałem spotkać A.; czekałem na to od

proza

dawna. Chodziłem po mieście starając się wypełnić niecałe trzy godziny jakie pozostały do ósmej. Czasami ma się ochotę zostawić wszystko. Miałem wielką chęć zdołować się alkoholem, ale byłaby to tylko pozorna ucieczka od rzeczywistości. Jednak mimo wszystko jestem szczęśliwy. Niedługo zobaczę A., to cudowne! Nie widziałem jej równy miesiąc. Ból zęba narastał. Deszcz bezustannie siąpił, październikowa plucha tworzyła nastrój apatii i przygnębienia. Moje parszywe samopoczucie wynikało głównie z braku kasy. Ów brak pieniędzy towarzyszył mi od zawsze, lecz teraz oprócz braku funduszy, miałem jeszcze długów od cholery, zaciągniętych długów!

Szarżało. Wyblakłe sylwetki ludzkie przechodziły sennie obok mnie, pochłonięte swoimi małymi sprawami. Nieliczne barwne neony oświetlały intensywnie ulicę, a niektóre wystawy sklepowe przypominały obrazy Seurata. Rzęsisty deszcz zaczął coraz bardziej. Od czasu do czasu przejechał jakiś pojazd, ochlapując osoby stojące bliżej jezdni.

– Ty chamku – krzyknął jeden z mężczyzn za odjeżdżającą ciężarówką, po czym zaczął wycierać brudny płaszcz. Grupka rumuńskich dzieci stała przy wejściu do delikatesów, prosząc przechodniów o pieniądze. Drobny chłopiec o śniadej cerze podszedł do mnie, krzycząc i gestykułując.

– Pan dać na bułkie – wycedził siedmioletni może dzieciak, a jego oliwkowa twarz przybrała błagalny wyraz.

– Pan nie dać, bo nie mieć – odpowiedziałem, idąc dalej. Wyjąłem z kieszeni zmiętą paczkę papierosów, odpaliłem ostatniego i znów poczułem – tym razem bardzo ostry – ból zęba. Deszcz powoli ustawał, kropił jeszcze, lecz była to już jedynie niewinna mżawka. Skręciłem w prawo. Mętne światło odbijało się w kałużach. Jaskrawe latarnie oświetlały ulicę, na której poza mną widziałem tylko dwie osoby. Obok wielkich drzew o potężnym pnieniu, droga wysadzona była młodymi, bezlistnymi jeszcze drzewkami. Boczny, szeroki pas był brukowany, a kamienisty wygląd dodawał ulicy swoistego uroku. Tu właśnie znajdowała się dzielnica domków jednorodzinnych. Estetyczne zabudowania, ciągnące się wzdłuż, tętniły własnym życiem. Przy niektórych budynkach słychać było krótkie, przenikliwe szczekanie psa. Zwierzęta ujadły głośniej wraz z moim pojawieniem, później warczały cicho, by za chwilę w ogóle przestać. Patrzyłem na przystrzyżoną trawę w kolorze intensywnej, soczystej zieleni. Miałem szczerą i absurdalną ochotę położyć się i wyciągnąć na niej. Kilkadziesiąt metrów dalej stał dom mojego kumpla z czasów licealnych – Baltazara. Handlując pasmanterią dorobił się ogromnej forsy. Podziwiałem go za to, że sam doszedł do takich pieniędzy. Nie zrobił nawet matury. I dobrze! Po co?! Jego luksusowa chata otoczona była klombem białych brebeufetów. Zadbane ścieżki pokrywał ciemny żwir, a ozdobne, pnące rośliny o długich, oryginalnych łodygach uzupełniały teren wokół budynku. Słoneczny, kołbaltowy zegar, przytwierdzony do niskiego muru, zdobił frontową ścianę z ceramicznej cegły. Jednopiętrowa willa była naprawdę gustowna – spadzisty, łamany dach sprawiał wrażenie stylu góralskiego. Całość ogrodzona parkanem imitującym ruiny zamku. Szczerze zazdrościłem mu tego wszystkiego, cóż? – ja mam jedynie bogate życie wewnętrzne – to musi mi wystarczyć.

Po półgodzinnym marszu znalazłem się u siebie. Byłem podniecony i niecierpliwy, nie mogłem doczekać się wspólnej kolacji z A. Do dwudziestej zostały jeszcze dwie godziny. Pikantny bogracz był już gotowy, szykowałem sztućce i czytałem etykietę na litrowym, wytrawnym winie, które uwielbiała. Jej wczorajszy telefon był dla mnie miłym zaskoczeniem. W nocy spałem niecałe trzy godziny. Już od rana żyłem nadzieją ponownego zobaczenia jej. Nigdy nie mogłem znieść myśli, że A. mogłaby być z kimś innym. Na samo wspomnienie o dzisiejszym spotkaniu, kolacji, rozmowie i – mam nadzieję – seksie, dostawałem dreszczu emocji. Nerwowo przeglądałem płyty i kasety z muzyką. Davis, Morcheba, Savall... Jeszcze tylko półtorej godziny... Dzwoni telefon.

– Słucham.

– Cześć, tu Eljot...

– Sorrka, nie mam czasu, jestem umówiony – przerywam mu – przedzwonię jutro, na razie. Pożegnałem go nie czekając na odpowiedź, nie chcę teraz rozmawiać, NIE W TEJ CHWILI. Przez moment myślałem, że A. odwołała dzisiejsze spotkanie, że to telefon od niej. Na szczęście nie. Próbuję coś czytać, coś przeglądać, jednak nie potrafię się skupić, nie jestem w stanie zrozumieć żadnego zdania. Po raz kolejny sprawdzam, czy mój domofon działa, ostatnio często się psuje. Niecierpliwie wyglądam przez balkon – może przyjdzie nieco wcześniej. Znowu dźwięk telefonu.

– Halo?

– Z kim rozmawiam? – słyszę dziecienny głos. – A z kim chciałaś?

– Z Krysią

– Pomyłka – odpowiadam, odkładając słuchawkę. Po kilku minutach ponowny odgłos dzwonka. Co jest?!

– Krysią? – Pyta ten sam głos.

– Krystyna nie żyje... – mówię rozdrażniony.

Niecała godzina do przyjścia A. Znowu używam wody Vidoffa – dzisiaj jej nie oszczędzam. Nastawiam płytę *Kind of Blue* i czekam, wciąż czekam. Punktualnie o dwudziestej daje znać głośny, natarczywy dźwięk domofonu. Szybko otwieram, nie pytając „kto?”. Na klatce słyszę specyficzny stukot damskich obcasów – to ona! Wreszcie! Otwieram drzwi... To Baltazar z jakąś panną.

– Witaj – rzuca do mnie i wchodzi do pokoju. Przedstawia mnie dziewczynie. Jest niezła.

– Poznaliśmy się wczoraj, wczoraj u Eljota. – mówi, „co mnie to obchodzi” – myślę i nalewam im piwo. Balti wchodzi za mną do kuchni. Półgłosem mówię mu, że czekam na A., powinna się już zjawić. Daję mu do zrozumienia, że chcę być tylko z nią.

– Okey – odpowiada – przechodziliśmy obok, chciałem ci tylko pokazać Gosię, zaraz się zrywamy...

– A propos A. – dorzuca – widziałem ją wczoraj na mieście z jakimś kolesiem. Byli niezłe rozbawieni, nawet mnie nie zauważyła.

– Albo nie chciała zauważyć – mówię złośliwie. – Kto to był?

– Nie mam pojęcia. Sporo starszy od niej, ta-aki śmieszny typek, z rudym zarostem na twarzy. Ubrany w zajebiste żółtą marynarkę, niósł wielkiego kaktusa w doniczce.

Stawiam na stole szkło z piwem. Kto to mógł być? Ktoś z rodziny? Kumpel z roku? Nie wiem. Patrzą to na twarz, to na zgrabne nogi dziewczyny. Rozmawiamy przez jakiś czas o wszystkim i niczym, wreszcie dopijają piwo i wychodzą, zostawiając nieco napoju na dnie szklanek.

A. powinna być dwadzieścia minut temu. Pewnie jak zwykle się spóźni. Wychodzę na balkon pewien, że zaraz ją zobaczę. Czekam. Zdenerwowany nalewam sobie wina, wypijając momentalnie dwie spore lampki. A. spóźnia się już pół godziny... Dzwonię do niej chcąc i nie chcąc jej usłyszeć. Natychmiast po wykręceniu numeru odbiera, jakby stała przy aparacie.

– Cześć – mówię i w tym samym momencie słuchawka zostaje odłożona. Co się dzieje? Nie sędzę, żeby sama się wyłączyła. Wkurzony wykręcam ponownie – zajęte. Po chwili po raz drugi, trzeci. Cały czas zajęte. Piję kolejny kieliszek wina; już chyba nie przyjdzie – godzina dziewiąta, niepotrzebnie tracę czas na czekanie. Może pojechać do niej? Możliwe, że nie może się dozwonić. Coś jej wypadło?

– Niech to jasny szlag! – klnę i zakładam kurtkę. – Wychodzę, nie mając na to najmniejszej ochoty. Taryfą podjeżdżam pod blok A. Jest już całkiem ciemno, znowu pada deszcz i cały czas mam silny ból zęba. Przechodzę pod jej oknem, gra telewizor, widzę niki światła. Na klatce schodowej zatrzymuję się pod jej drzwiami. Słyszę jakieś bolesne, niewyraźne jęki... kobiece odgłosy, westchnienia... Po dłuższej chwili przestają mieć wątpliwości, jest z kimś innym! Na pewno nie rozmawiają o sytuacji na Bałkanach... Naciśkam klamkę. Drzwi są otwarte. Wchodzę. Ku mojemu zdziwieniu w mieszkaniu nie ma nikogo; głośnie i dźwięki wydobywają się z włączonego telewizora. Rozglądam się po pokoju, wszędzie straszny bałagan. Podniosłem przewrócony mikroskop, cały był w przezroczystym śluzie – polepił mi palec. Wytarłem dłonie w zasłonki, zrywając przypadkowo jedną z firanek. Na biurku zauważyłem jakieś tkanki i preparaty różnych owadów, mnóstwo probówek, naczyń – oparłem się o parapet. Co ona robiła z tym mikroskopem? Może zbierała i powiększała owady? Przebąkiwała coś o egzaminach na mikrobiologię. Na krześle zauważyłem wiszącą męską marynarkę – „zajebicie żółtą”. Co tu się dzieje?! Nic nie rozumiałem. Czyje to? Kto tu był? Gdzie jest A.?

W kuchni znalazłem tabletki pabialginy. Nie zastanawiając się, zażyłem jedną, popijając proszek ciepłą jeszcze kawą, stojącą na blacie kuchennego stołu. Środek zaczął działać. Ból zęba mijał, teraz dopiero pojawiło się zmęczenie i wyczerpanie. Usiadłem w miękkim fotelu i mimo zdenerwowania czułem jak odpoczywam. Było mi dobrze. Oddychałem powoli i głęboko, przeciągając się leniwie. Powieki stawały się coraz cięższe i cięższe – zamykały się same. Głowa bezwiednie opadała na bok. Chciałem jedynie dobroczynnego, krzepiącego snu, snu jakże mi teraz potrzebnego. Czułem jak zasypiam, jak przyjemnie zasypiam.

W pokoju panował półmrok, słychać było łagodnie sączącą się muzykę Brahmsa. W powietrzu unosił się cierpki zapach alkoholu wymieszany z gryzącym dymem. Obszerne wnętrza urządzone było nieco staroświecko,

sprawiając wrażenie nazbyt zagraconego; niemniej gustowne przedmioty tworzyły niebanalny wystrój. Sceneria niczym z angielskich filmów z lat czterdziestych. Stare, dębowe meble i wielki, stojący, mahoniowy zegar narzucały wrażenie pewnej tajemniczości, a nawet lęku. Czas stanął tutaj w miejscu. Mroczny pokój rozświetlały trzy płonące świece w kształcie siedzącego Buddy. Na niskiej szklanej ławie stała popielniczka z alabastru z dogasającym papierosem, obok brajerowska fajka i wielka zapalniczka w granitowej obudowie. Na środku znajdowała się, jedyna nowoczesna rzecz – industrialny, skórzany narożnik, podobny do tego jaki widniał na okładce płyty Mansona *mechanical animals*; świetnie zresztą wtopił się w całość pomieszczenia. Na nim, wśród książek odwróconych do góry grzbietem, leżał młody mężczyzna, układając w rękach coś, co przypominało kostkę rubika, w jednolitym kolorze. Niecierpliwie czekał na przyjscie kogoś, co chwila spoglądając na zegarek. Po pewnym czasie drzwi do pokoju otworzyły się, a w nich stanęła dziewczyna, nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat. Była zniewalająco piękna. Usiadła na brzegu i namiętnie zaczęła przygarniać leżącego chłopaka, odwzajemniającego jej uściski. Po krótkich, niewinnych pieszczotach i delikatnych pocałunkach runęli jednocześnie na dół, a ich ciała coraz bardziej zaczęły pragnąć siebie. O wstydzie nie było mowy. Czułe pocałunki przepelnione były pożądaniem i mocno spragnione dotyku drugich warg. Nienasycone ciała płonęły żądzą – opanowywał je głód seksu i cielesnego kontaktu, kontaktu coraz bardziej wyuzdanego. Wszystko odbywało się bez słów. Ciszę zakłócały jedynie przyspieszone oddechy i melodie Brahmsa. Delikatnie zaczął rozpinąć jej bluzkę, pod którą koronkowy stanik podtrzymywał wydatne piersi. Po chwili wyłoniły się gładkie i jędrne – dotyk biustu napawał go niewypowiedzianą przyjemnością. Ona w sekundzie kilkoma zwinnymi ruchami zdjęła mu koszulę i ich ciała w górnej części dotykały siebie, ocierając się skóra o skórę. Oddechy stawały się coraz szybsze i coraz głośniejsze. Jego palce stopniowo posuwały się w dół jej szczupłej figury, tam natknęły się na spodnie, idealnie przylegające do zgrabnych, długich nóg. Jednym szarpnięciem odpiął je i przy jej pomocy para obcisłych nogawek znalazła się na podłodze – odkrywając cudowne uda i łydki, które w półmroku i ciemnych pończochach doprowadzały go do prawdziwej ekstazy. Oboje pragnęli już tylko jednego: zaspokojenia swoich dzikich marzeń. Chłopak ściągnął w pośpiechu resztki swojej bielizny, rozrywając podkoszulek i będąc już całkiem nago, szybko zdarł z dziewczyny to, co jeszcze miała na sobie. Otwartymi dłońmi głaskał piersi, masował wklęsły brzuch, ssał sutki. Jej brodawki odwzajemniały się stojącym wyglądem, co dodawało im szczególnego piękna i uroku. Oboje wykorzystywali każdy centymetr swoich ciał. Dziewczyna jęczała cicho i lekko dygotała, przygniatając go do siebie rękami i nogami. On zaś położył się między jej rozchylonymi udami, które nazbyt miękko otworzyły się przy pierwszej zuchwałej próbie szaleństwa. Szczególną rozkosz wzbudzał w nim wyraz jej twarzy; błysk oczu, jasne zęby, delikatne, pachnące ciało. Wszystko to doprowadzało go do silnego podniecenia. Ich sylwetki, jakby chciały wtopić się w siebie, stając się jedną całością.

Dziewczyna miała chwilami zaciśnięte usta i twarz zabarwioną lekkim rumieńcem; wyginała ciało, wiła się, unosiła ręce ponad głowę – by po chwili przesunąć je wzdłuż bioder, pieszcząc jednocześnie swego kochanka. Z podniecenia i cudownego erotycznego wysiłku, pokryty potem, dotykał jej talii, pokrywał jej twarz, szyję i biust, namiętymi pocałunkami; liżał skronie i uszy. Ich rozpalone ciała dawały sobie siebie nawzajem, doprowadzając przy tym do wścieklej żądz uprawiania wyuzdanego seksu.

Po kilkunastu minutach wspaniałej orgii osiągnęli szczyt upojenia, zachwyty i ekstazy. Teatr dwóch aktorów zakończył swój erotyczny spektakl szczytowym momentem rozkoszy, połączonym z nagłym zakończeniem rozpustnych czynności.

Teraz oboje leżeli, okrywając się niedbale jasnym kocem, który uwydatniał kontrast między opalonym ciałem dziewczyny a przykryciem.

– Było wspa-niale, bom-bowo... – przemówił, przeciągając słowa.

– Taaak... – odpowiedziała, uśmiechając się i sięgając po papierosa. Przytulił ją i leżeli w błogim milczeniu, z którego wyrwał ich krótki dzwonek u drzwi. Wstał bez pośpiechu, zaczął rozmawiać z jakimś facetem i po krótkim dialogu powrócił do pokoju.

– To sąsiad z dołu, coś stało się młodej kobiecie mieszkającej naprzeciw nas. Prosił o szybkie przyjście – patrzył na dziewczynę, która wypuszczając z ust dym, jeździła paznokciem po szklance z wodą mineralną. Ubiorę się i zaraz wracam – dorzucił. Nie zdążyła nic odpowiedzieć, kiedy był już na klatce. W długim korytarzu spostrzegł uchylone drzwi od mieszkania trzydziestoparoletniej kobiety, zamieszkującej lokum vis-à-vis jego. Wszedł do środka.

Odór w pomieszczeniu był tak silny, że cofnął się o krok. Po chwili oswoił się z przykrym, drażniącym zapachem – ostra woń doprowadziła go jednak do pewnego zamroczenia. Jego sąsiadka mieszkała w małym, ciemnym pokoju; wewnątrz robiło przygnębiające wrażenie. Na samym środku widoczny był wielki, okrągły stół. Na jego blacie stał niedojedzony posiłek, obok pusta butelka rumu Bacardi. Chłopak stał w miejscu, z trwogą przyglądając się przedmiotom. Na podłodze leżało mnóstwo potłuczonego szkła i kilka kaset wideo, wśród tego wszystkiego zauważył brunatno-czarnego psa. Zwierzę było średniej wielkości; nie żyło. Cały czas jednak szczyrzyło zęby, a wydłużony pysk zastygł w grymasie bólu. Stąd pewnie ten smród – pomyślał. Niepewnie zbliżył się do kobiety, która leżała wyciągnięta na opływowym, metalowym łóżku, stojącym w rogu pokoju. Oddychała ciężko. Na dźwięk kroków zadrżała, starając się odwrócić w jego stronę. To co zobaczył o mało go nie powaliło. Blisko połowę ciała obejmowała gangrena. W pośpiechu zaczął szukać telefonu – bez skutku. Szybko zdarł z niej brudne ubranie. W okolicach piersi ukazała się ogromna, otwarta rana. Wokół ropiejącego uszkodzenia latały małe muszki, siadając co jakiś czas na rozdartych tkankach ciała. Rana była czarna i cuchnęła. Kobieta cały czas żyła. Odwrócił ją delikatnie na bok. Okazało się, że pośladki i uda wyglądają jeszcze gorzej. Na prawej nodze, po-

między kolanem a stopą, widoczna była wygniata dziura, w środku której ruszały się białe, drobne robaki. Całe posłanie przesiąknęło odchodami.

– O ja pierdołę – przemówił szeptem i chwycił się półki, wykonanej z surowego drewna, długości ściany, do której była przymocowana.

W szklanym, kanciastym naczyniu, stojącym na półce, widać było zeschnięte liście lotosu. Obok leżał album na temat roślin wodnych. Na kartce zwisającej z półki, przeczytał napis: *z nasion lotosu mających bardzo zbity i szczerbnie zamknięty naskórek, po wydobyciu ich z grobów azjatyckich, w których przebywały około 1000 lat, wciąż wyrastają młode rośliny...* Kobieta nagle wydała odgłos tak piskliwy i przeraźliwy, że w panice i strachu złapał ją za rękę, trzymając silnie, jakby bał się jej reakcji...

Konrad Ludwick

Algebra art

Naszym światem coraz wyraźniej rządzą cyfry. I nic dziwnego, bo najwyższą wartością są teraz pieniądze, a te można wyrazić tylko w liczbach. Cała gospodarka światowa opiera się na liczbach, telefonia i elektronika również (ta ostatnia głównie na relacji 0-1). Każdy z nas ma swój numer NIP, PIN, pesel, regon, numer rejestracyjny, domu itd. Jesteśmy osaczeni przez cyfry, które wdzierają się drapieżnie w nasze życie codzienne i uczucia. Uczucia także są teraz coraz częściej przeliczane według relacji wydatek-zysk. Wszelkiego rodzaju systemy miar wprowadzają pewien porządek i umowność, jakże uniwersalną pod każdą szerokością geograficzną. Jeżeli cyfra jest obecna w umyśle każdego homo sapiens, to czy nie od niej pochodzi dusza ludzka i cały wszechświat? – zastanawiali się starożytni Grecy. Wróżbici opracowali nawet numerologiczny rodzaj stawiania kabały. Średniowieczni mieli obsesję na punkcie wielokrotności liczby 3. Dzisiejsi sataniści akcentują 666, romantycy 4 i 0. A co się działo, gdy nadchodził okrągły rok 2000. Czy cyfry umożliwiają podróże w czasie? (skacząc po datach). A szczęśliwa siódemka? Grupa 2+1? Światem liczb rządzą żelazne reguły, a nieskończoność najłatwiej wyrazić liczbą pi.

Każdy z nas potrafi wyrecytować z pamięci kilkanaście numerów telefonów, a „Rain Manowi” zazdrościliśmy, kiedy nauczył się na pamięć książki telefonicznej. A przecież to tylko kombinacja dziesięciu umownych znaczków wymyślonych przez Fenicjan. Ich już nie ma, a cyfry zostały... Odrzućmy na chwilę pismo alfabetyczne na bok... Czy epoka cyfrowa zostawi jakiś ślad w poezji? Czy wiersze można numerować? Obliczać ich piękno? Istnieją na ten temat różne teorie. Tak jak kiedyś poetów fascynowały miasta i maszyny, teraz zajmują ich pojęcia wysoce abstrakcyjne – numery. Poszperałem w kilku miejscowych magazynach artystycznych i ze znalezionych tam liryków pozwoliłem sobie zredagować zaczątek antologii poezji matematycznej, co państwu poniżej prezentuję.

P.S. Wiersze pochodzą z czasopism studenckich: „Fenactil” i „Rzur”.

DO STUDENTEK FIZYKI

masz oczy jak $x+7$
 i włosy w ilości 675483293 sztuk
 koloru spalonych komputerowych wydruków
 twoje usta jak znak =
 i nawiasy () piersi
 doprowadzają mnie do przyspieszonego
 pierwiastkowania
 hiperbola ramion powoduje reakcję łańcuchową
 atomów mej męskości
 liczę już tak długo
 na rozwiązanie
 równania $X+Y=Z$
 pod którym kryje się
 poznanie matematycznie doskonałej kobiety
 (S. Żuberek)

A JEDNAK SZKIEŁKO I OKO

178 cm
 70 kg
 IQ 128

No dobrze a
 Osobowość
 temperament
 poczucie humoru

moralność?

człowieka
 nie da się
 przedstawić
 tylko za pomocą
 liczb

jak to nie da? –

a Oświeć
 (P. Tarnowski)

NUMEROMANIA

Jestem zero.
 Bo niczym mniejszym nie można już być.
 Za chwilę mówię, że jestem dziesięć.
 Czy znajdę to pięć, którym powinnam być.
 Męczy mnie bieg za dziesięć.
 Taki już los długodystansowca.
 (Jagoda)

Sursocjal*

Ostatnio często zdarza mi się słyszeć wyznania typu: „Jestem surrealistą”, wypowiedziane takim tonem, jakby się przymierzało odpowiedni garnitur na wieczorne przyjęcie. „Dzisiaj będę surrealistą, jutro symbolistą, a dalej zobaczymy” – kombinują sobie nasi malarze. Nie odmawiając im talentu uważam, że zachodzi tu kolosalne nieporozumienie, spłylenie pewnej idei, skrojenie jej na potrzeby wywiadu, notki biograficznej, tej czy innej szufladki. Bo jak można być dzisiaj surrealistą chodząc na dyskoteki, grając w golfa, opalając się na Lazurowym Wybrzeżu, pływając na eleganckim jachcie? Wszystko to fajne, ale ten tryb życia odpowiada bardziej kanonom próżniaczej business-class, tej od lunchów i aperitifów, a nie artystom owładniętym szaleńczą ideą, jaką był surrealizm! Oczywiście jedno nie wyklucza drugiego, jednak o sytuacjach stricte surrealistycznych jakoś ostatnio nie słyszałem. Do tej grupy malarzy bardziej pasowałyby słowa Andy Warhola: „Sztuka to dobry interes. Maluję dla pieniędzy”. To jest chyba jedyny wyznacznik działalności malarskiej w chwili obecnej. Namalować tak, aby się dobrze sprzedawało i w dużej ilości. Trzeba więc pożyczyc trochę z jednego trendu, trochę z drugiego, sprawnie połączyć, podrasować itd. Takie puzzle już od iluś lat nazywa się w terminologii humanistycznej postmodernizmem, ponieważ zakłada on element gry odniesień i nawiązań, układanki, collages i świat na opak. Jest to bardzo pojemny termin, lecz odrzucany pogardliwie nie ma swojego miejsca wśród wielkich „izmów”. Dlaczego? Ponieważ podstawowe jego hasło brzmi: „wszystko już było”. Już więc nic nowego nie odkrywamy, ale możemy jeszcze się pobawić, przedstawiając klocki. Jeżeli się bliżej przyjrzymy, postmodernizm ma niewiele wspólnego z modernizmem. Chyba tylko jeden z członów nazwy. Opiera się na zupełnie innych podstawach i założeniach. Nasi malarze jednak uparcie powtarzają, że są surrealistami, z czym się nie mogą zgodzić, ponieważ:

– surrealiści byli barwnymi odlotowcami, praktykującymi filozofię patafizyczną (opartą na absurdzie i paradoksie), co manifestowali też w swoim życiu prywatnym.

– kultura mieszczańska z jej kultem pieniądza była im obca, starali się ją atakować, prowokować, bulwersować, obrażać na rozmaite sposoby. Z czasem weszli w sferę zainteresowań awangardowego komunizmu. Niestety.

– surrealiści dążyli do sytuacji ekstremalnych, swoje życie traktowali jako eksperyment (przebywali w towarzystwie alkoholików, włóczęgów, obłąkanych). Soupalt np. poświęcił jedną ze swoich książek somnambuliczno-kryminalnym wędrówkom po Paryżu.

– surrealiści nie starali się uchodzić za ludzi popularnych, lubianych, szanowanych. Byli raczej buntownikami bez powodu, wariatami. Konsumpcyjny styl życia to termin, którego wówczas jeszcze nie znano.

plastyka

Dali, Breton, Vian, Artaud, Chirico... wiele czasu spędzali w kawiarniach i kabaretach.

I jak tu dopasować świetnie ułożonych, eleganckich chłopców do takiego wizerunku? Czy to malarstwo nie jest tylko sprytnie wypreparowaną mieszanką pewnych motywów i technik, które muszą się spodobać? Taką delikatną manipulacją, grą na snobizmie, czerpaniem z mody, maniera? Poza tym trudno dziś mówić o surrealizmie, kiedy większość reklam wykorzystuje ich pomysły, robiąc to w bardziej perfekcyjny sposób – w fotografii (np. Horowitz). Ostatnimi surrealistami byli moim zdaniem Beatlesi z okresu „A Hard this Night” A. Lestera, kiedy sztubacki dowcip podszyty był prowokacją obyczajową skierowaną w londyńskich mieszczuchów. Teraz trudniej kogoś poruszyć, gdyż czasy są zwariowane i trudno je pojąć. Najłatwiej zostać skandalistą, jak Larry Flynt, albo polować na zdjęcia z WC sławnych ludzi. To się teraz sprzedaje. Nie są to intelektualne żarty, jakie znamy np. z Monty Pythona, bo na nie nie ma miejsca w świecie krwiożerczych parazytów i ruskiej mafii. Jeżeli żart – to makabryczny, puenta – okrutna, morał – beznadziejny. Taki jest show-biz. Proszę nie odbierać tego artykułu jako ataku na współczesne malarstwo. Chciałbym żeby ten eklektyzm i estetyzm pozostał w pracach tych, których tu obsmarowałam. Bądźcie panowie postmodernistami pełną gębą, nie wstyďte się tego. Może on wskaże Wam nową drogę, kiedy się już doszczętnie wypalicie i stracie pomysły na realizację kolejnych zamówień...□

(sb)

* Sursocjal – termin wymyślony przez częstochowskiego architekta Andrzeja Banacha, oznaczający rzeczywistość społeczną w krajach postkomunistycznych, przesiąkniętą przyzwyczajeniami poprzedniej epoki. Nie ma on nic wspólnego z artykułem.

I Międzynarodowa Wystawa Miniatury „Częstochowa 2000”

Pomysł zorganizowania wystawy miniatury plastycznej w Częstochowie przyszedł mi do głowy już w ubiegłym roku podczas organizacji wystawy sztuki poczty (Mail-Art) pt. Muzyka-Mistyka. Wystawa ta miała miejsce w maju 1999 r. w galerii O.P.K. Gaude Mater. To właśnie tam trafiłem na podatny grunt do organizacji tego typu wystaw. Dzięki przychylności dyrekcji, w osobie pani Małgorzaty Z. Nowak, i współpracy kuratora galerii – Roberta Sękiewicza, udało się zorganizować wystawę, której odpowiedniki znajdują się w niewielu miejscach na świecie m.in. w Hiszpanii, Japonii i Jugosławii, a do niedawna w Kanadzie (do śmierci jej organizatora Egidio Del Bello). Pomysł zorganizowania takiej wystawy zrodził się u mnie w sytuacji, gdy spadkobiercy Del Bello nie podjęli decyzji o kontynuacji wystawy. Pomyślałem, że tego typu imprezą będą zainteresowani artyści, którzy tworzą na

małym formacie, a nie mają możliwości konfrontacji swoich prac. Galeria O.P.K. jest wymarzonym miejscem do takich prezentacji, albowiem jej gabaryty odpowiadają najlepiej właśnie małej formie. Na rozesłane przez nas zaproszenia odpowiedziało aż 220 osób z 22 krajów świata. Jest to duża liczba, jak na pierwszą edycję. Przecież 220 osób to prawie trzy razy tyle prac (regulamin mówił, że każdy artysta może nadesłać maksymalnie trzy prace).

Jury w składzie: Jacek Rykała, Andrzej Niekrasz, Tadeusz Kosela, Robert Sękiewicz i Bartosz Frączek miało ciężki orzech do zgryzienia. Po długich obradach, jednomyślnie postanowiło przyznać Grand Prix (ufundowane przez Pana Prezydenta miasta, który objął honorowy patronat nad całą imprezą) Mariuszowi Mruczkowi z Chorzowa, zaś I, II i III nagroda przypadły Anicie Baenisch-Judzie z Katowic, Andrzejowi Markiewiczowi z Radomia i Krzysztofowi Olszewskiemu z Warszawy. Jury, podkreślając wysoki poziom nadesłanych prac, postanowiło przyznać 9 wyróżnień honorowych. Jedno z nich przypadło częstochowiance – Agnieszce Kwapisz.

Medale dla artystów nagrodzonych zaprojektował i wykonał Leszek Wieluński, natomiast okolicznościowe dyplomy – Ryszard Baranowski, za co w tym miejscu chciałbym im serdecznie podziękować.

Różnorodność wystawianych prac pod względem technicznym i tematycznym jest tak duża, jak pochodzenie kulturowe artystów: m.in. Japonia, Turcja, Finlandia, Włochy, Ukraina. Na wystawie pojawiają się prace graficzne, malarskie, rysunkowe, wykonane w technice kolażu czy grafiki komputerowe. A także, poza konkursem, prace ceramiczne czy też wykonane w drewnie lub kamieniu.

Myślę, że dzięki temu zróżnicowaniu wystawę można uznać za ciekawą, o czym świadczy duże zainteresowanie mediów, artystów i samej publiczności. Dzięki niemu wystawa będzie odbywała się co dwa lata, rozszerzona jeszcze o fotografię i medal.

Mamy nadzieję, że w przyszłości impreza ta będzie cieszyła się jeszcze większą popularnością przez co stanie się prestiżową, a obecność na niej będzie świadczyła o bardzo wysokiej formie zakwalifikowanych twórców.□

Bartosz Frączek

Artyści Częstochowy XX wieku

W roku 2000, obok dorocznych wystaw poplenerowych, zorganizowano w naszym mieście cztery duże wystawy zbiorowe. „Na początku” była pierwszą z nich. Została zorganizowana w neogotyckim wnętrzu kościoła Wniebowstąpienia Pańskiego. Otwarta w czasie Festiwalu „Gaude Mater”, była czynna przez cały maj i czerwiec. Przygotowałem ją przy współpracy kolegów i dzięki gościnności parafii ewangelicko-augsburskiej z ówczesnym jej proboszczem, ks. Henrykiem Kurzawą.

Wystawa na koniec millennium nawiązywała do początku – nowego tysiąclecia, stworzenia świata – i naszych, wewnętrznych światów. Skomponowana była w sekwencjach biblijnych dni stworzenia. Uczestniczyli w niej liczni artyści częstochowscy oraz twórcy zaproszeni z Polski i USA. Towarzyszyło jej, już tradycyjnie, autorskie misterium ekumeniczne z udziałem duchownych i przedstawicieli Kościołów: Ewangelicko--Augsburskiego, Prawosławnego, Rzymskokatolickiego, Chrześcijan Baptistów, a także Gminy Żydowskiej. O tym przedsięwzięciu pisałem już w „Alejach”. Pisałem też (w poprzednim numerze) o wystawie „Pielgrzym polski”, przygotowanej przez Muzeum Częstochowskie w odrestaurowanym i zmodernizowanym pawilonie wystawowym w Parku Staszica. A w obecnym numerze zamieszczono artykuł poświęcony IV Biennale Sztuki „Sacrum”.

Na szczególną uwagę zasługuje wystawa „Artyści Częstochowy XX wieku” otwarta w Miejskiej Galerii Sztuki 4 sierpnia. Bardzo ambitna w założeniu programowym, miała ukazać artystów tworzących w naszym mieście w tym stuleciu przez tylko jedną, wybraną pracę każdego z nich. Mnie, jako uczestnikowi wystawy trudno jest pisać jej recenzję – będą to więc tylko moje subiektywne spostrzeżenia.

Już od wejścia ekspozycja robi dobre wrażenie dzięki dobranemu zestawowi prac i przemyślanej aranżacji, będącej dziełem Jerzego Kędziory przy współpracy Barbary Szyk i Tomasza Mana. Bardzo dobrym pomysłem jest organiczne włączenie w tok wystawy jej części muzealnej. Dzięki temu dzieła dawniejszych twórców żyją i prowadzą dialog z najnowszymi pracami artystów tworzących obecnie. Dobrze też działa połączenie malarstwa, rysunku, grafiki, fotografii, rzeźby, instalacji w ciekawe kompozycje przestrzenne. Były już precedensy pokazywania prac artystów częstochowskich ze zbiorów muzealnych razem z pracami artystów tworzących współcześnie. Warto do tych doświadczeń wracać.

Katalog wystawy został ładnie zaprojektowany i wydany – takie jest pierwsze wrażenie. Słabnie ono jednak nieco po analizie kolorystycznej wierności niektórych reprodukcji. Rażą też dość liczne usterki w składzie komputerowym tekstu.

Te uwagi są właściwie drobiazgiem, w niczym nie osłabiają mojej opinii, iż powstała rzecz ważna, interesująca, warta zobaczenia. Dużo pracy w przygotowanie tej wystawy, zorganizowanej z inicjatywy naczelnika Wydziału Kultury Urzędu Miasta, Ireneusza Kozery, włożyli jej komisarze: Piotr Głowacki, Aleksander Jaśkiewicz, Anna Maciejowska i Aleksander Żakowicz oraz dyrektor Galerii Czesław Tarczyński.

Rozmawiam z Piotrem Głowackim, historykiem sztuki i krytykiem, pracownikiem Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie.

Tęgo rodzaju wystawy pozwalają na przypomnienie artystów znanych, a także tych zapomnianych, umożliwiają ich odkrycie, dotarcie do ich dorobku. Warto w przyszłości z większym zaangażowaniem podejmować takie próby, szukać obrazów spoza kolekcji muzealnej,

która też powinna być ciągle uzupełniana, poszerzana, wzbogacana. Wiem, że organizatorzy próbowali dotrzeć do obrazów oraz informacji o artystach za pośrednictwem prasy, jednak bez rezultatu.

Piotr Głowacki – Jeżeli chodzi o przyszłość, to należy się także zastanowić nad powołaniem stałej regionalnej ekspozycji prezentującej sztukę powstałą w Częstochowie.

W.R. - Również wśród tworzących obecnie są tacy, którzy z różnych przyczyn nie uczestniczą w życiu wystawienniczym. Ekspozycja typu „Artyści Częstochowy XX wieku” stwarza możliwości zwrócenia uwagi na ich twórczość. Tak jest na przykład z Aleksandrem Malikiem, rzeźbiarzem mieszkającym w pobliskim Olsztynie. Tęgo bardzo sympatycznego artystę poznałem rok czy dwa lata temu, a od lat, podobnie jak bardzo wielu ludzi, spotykałem się z jego pracą, nie wiedząc, kto jest jej autorem. Chodzi o centralną kompozycję rzeźbiarską w drewnie, przedstawiającą Świętą Rodzinę, w nastawie głównego ołtarza częstochowskiej archikatedry. Z przyjemnością więc zobaczyłem zdjęcie owego dzieła na obecnej wystawie.

Takie wystawy pozwalają zauważyć różnorodność postaw twórczych poszczególnych artystów, a także to, co ich łączy. Tutaj możliwe jest tylko zasygnalizowanie problemu, choćby na paru przykładach. Jest miejsce dla słonecznego nasycenia kolorem „Gór” Jerzego Pogorzelskiego, i dla mistyki i świetlistej poezji kalwaryjskich drózek Aleksandra Markowskiego, dla miękkiego nokturnu paryskiej ulicy z początku stulecia Józefa Mączyńskiego, dla jasnych, delikatnych harmonii „Nad Dunajcem” Agaty Beaty Bińczyk i niepokojącej metafory, bajkowej naiwności „Pejzażu” Władysława Noworyty. A przecież jest i abstrakcja w różnych jej odmianach, i sztuka figuratywna... Tendencje surrealistyczne, baśń, groteska. Wystawa umożliwia bliższy kontakt z dziełami, a za ich pośrednictwem z artystami, których dzieła nie tylko reprezentują – są jakby częścią ich samych.

P.G. – Na uwagę zasługuje wysoki poziom artystyczny reprezentowany przez wielu twórców, w tym niezwykłych, który jest odskocznią od spokojnego, dość prowincjonalnego życia Częstochowy.

W. R. – Jak dziś, po zakończeniu wystawy, oceniasz jej odbiór przez publiczność, prasę, radio i telewizję?

P. G. – Publiczność dopisała, co jest raczej wyjątkowe i tym bardziej zadowalające. Media najczęściej mogą spowodować zainteresowanie wydarzeniem, gubią jednak często jego właściwy wymiar, to jest samą wartość kulturalną.

W. R. – Jaka jest twoja opinia na przełomie tysiącleci o stanie częstochowskiego środowiska twórczego i wystawiennictwa?

P. G. – Jest duża liczba naprawdę interesujących malarzy – to wielkie dobro, gorzej jeżeli chodzi o środowisko (gazety, dyskusje, miejsca). Pod względem wystawiennictwa staliśmy się nowym bardzo ciekawym i atrakcyjnym miejscem. Kiedyś, być może, będziemy dużym, pełnym artystycznej atmosfery, środowiskiem.

W. R. – Dziękuję.

Władysław Ratusiński

Malarz równy krytykowi

Galeria sztuki w Filharmonii Częstochowskiej prezentuje rysunek i malarstwo Jerzego Stajudy (1936-1992)

Kiedy zimą ubiegłego roku zwiędziłem wystawę twórczości Jerzego Stajudy, prezentowaną w Galerii Otwartej Filharmonii Narodowej w Warszawie, stwierdziłem, iż po kilku latach przymierzania się do organizacji podobnej prezentacji w Częstochowie, zapał i chęci wcale mnie nie opuściły. Pamiętam obraz dużej, retrospektywnej, pośmiertnej wystawy Jerzego Stajudy, która w roku 1993 odbyła się w warszawskim Centrum Sztuki Współczesnej. Już wtedy zapragnąłem zaprezentować twórczość Stajudy w naszym mieście. Czyniłem starania o powierzchnię w Galerii Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater”, ale bezskutecznie. Moje podania pozostały bez odpowiedzi.

Dlaczego zaistnienie dzieł Jerzego Stajudy przypisywałem instytucji związanej z muzyką, i to poważną? Jerzego Stajudę pasjonowało nie tylko malarstwo wraz z rysunkiem, nie wyłącznie pisanie o sztuce (czynnie publikował przez jedenaście lat we „Współczesności”, „Miesięczniku Literackim”, „Nowej Kulturze”, „Polityce”, „Polsce”, „Po prostu”, „Projekcie”, „Przeglądzie Artystycznym”, „Przeglądzie Kulturalnym”, „Stolicy”, „Teatrze”, „Ty i Ja”, „Więzi”, „Za i Przeciw”, „Życiu Literackim”), on równocześnie żył muzyką. Słuchał jej, znał partytury utworów, grał na fisharmonii i pianinie. Otaczał się towarzystwem nie tylko plastyków, literatów, aktorów, ale i muzyków. Słynnymi i legendarnymi były tzw. wystawy domowe, organizowane przez artystę z własnych prac, w mieszkaniu przy ulicy Wiejskiej w Warszawie. Grono zaprzyjaźnionych bywalców tworzyli między innymi: Jolanta i Marek Nowakowscy, Aleksandra Semenowicz, Jacek Sempoliński, Maria Bojarska, Władysław Terlecki, Stefan Gierowski, Tadeusz Łomnicki, Grzegorz Kowalski, Danuta i Witold Lutosławscy, Artur Międzyrzecki, Julia Hartwig, Dorothea Szwarzman, Krzysztof Meyer, Edward Pałasz, Paweł Szymański. Mieszkanie-pracownia Jerzego Stajudy spełniało rolę intymnego, nieoficjalnego, elitarnego salonu i żywej, otwartej galerii, miejsca spotkań ludzi sobie nieobojętnych, wzajemnie się uzupełniających. Ukazują ich archiwalne fotografie, licznie zgromadzone w katalogu wystawy, w Zamku Ujazdowskim.

Pomysł mój wyeksponowania dzieł Stajudy w scenarii i atmosferze bliskiej sztuce dźwięków, był w jakimś sensie prekursorski, gdyż poprzedził aranżację kompozycji w warszawskiej Filharmonii. Intuicyjnie czułem, iż bogata spuścizna po artyście, spokrewniona jest z językiem pięciolinii, nut, półnut, ósemek, ćwierćnut, klucza wiolinowego. Z ważnego materiału źródłowego, jakim stał się dla mnie katalog wspomnianej już wystawy Jerzego Stajudy w Zamku Ujazdowskim, uzyskałem informacje o utworach muzycznych dedykowanych malarzowi przez znanych, zaprzyjaźnionych z nim kompozytorów. Krzysztof Meyer poświęcił artyście Kwartet



Smyczkowy nr 9 (rok 1989), a Paweł Szymański ofiarował pamięci Stajudy Pięć Utworów na kwartet smyczkowy (rok 1992). Fakt ten przemawiał za tym, aby plastyczną muzykę Stajudy uzupełnić i wzbogacić wykonaniem przynajmniej wybranych utworów. Pozazdrościłem organizatorom wystawy w Centrum Sztuki Współczesnej i marzyłem o podobnym występie Kwartetu Śląskiego. Kiedy w rezultacie ekspozycja, wzbogacona o wybór dzieł publicystycznych, zaistniała w Filharmonii realnie, jej dyrekcja ostatecznie rozwiała moje naiwne złudzenia. Taka oprawa wystawy kosztuje. Paweł Szymański wyraził zgodę na wykonanie utworów wyłącznie przez muzyków ze Śląska, a sam nie chciał angażować się w próby z innym zespołem. Kontakt z K. Meyerem jest utrudniony, gdyż mieszka w Niemczech. Dzięki przychylności i pomocy przyjaciółki Jerzego Stajudy, Aleksandry Semenowicz (malkarki, scenografa teatralnego), na wernisazu można było odtworzyć muzykę Pawła Szymańskiego z magnetofonu. Ta zastępcza forma umuzyycznienia akwreli i rysunków barwnych, okazała się zabiegiem niezwykle trafnym i zaakceptowanym przez gości. Występ muzyków na żywo jest zawsze specyficznym rodzajem happeningu. A tu, widzowie mogli obcować bezpośrednio ze świetlistymi powierzchniami dzieł artysty i jednocześnie wchłaniać subtelność ekspresji, struktur i abstrakcji muzycznych. Udało się nieoczekiwanie dobrze...

Podobnie do nienamacalności materialnej i skrajnej abstrakcyjności muzyki sztuka Jerzego Stajudy uwarunkowana została niedefiniowalnymi środkami formalnych znaków plastycznych. Wiążą się one z gestem ręki artysty, przenoszącej jego myśli, przeżycia, napięcia emocjonalne, duchowe głębie na powierzchnie ikonograficzne. Nieważne, czy są rozwiązaniami olejnymi, wodnymi, grafitowymi, tuszowymi, płóciennymi, celulozowymi, ale zawsze oczy patrzącego intrygują ostrą i zdecydowaną nasyconą syntezą. Na pewno nie fos-

foryzują kolorami, rozległością zestawień gam barwnych. Dzieła Stajudy są jednocześnie subtelne, ekspresyjne i mocne. Miękkie, jakby waciate stemple plam, silnie kontrastują z techniczno-technologiczną metodą ich zastosowania w układach dynamicznych. Dynamika w dziełach malarskich zaakcentowana jest dzięki pojawieniu się mocnych miejsc malarskich, wyznaczających jednocześnie fundamenty kompozycji. Muszą przecież bazować na trwałych i pewnych elementach. I tak, są kompozycjami nadmiernie otwartymi, rozbudowanymi na wszystkie strony płaszczyzn plastycznych. Może poza tymi, które centralnie ograniczają owale, elipsy. Koncentrując wzrok widza w środku obrazu. Na innych awersach prac, percepcja patrzenia rozprasza się ślizgając to tu, to tam, aby wreszcie znaleźć przystań w punktach zagęszczenia materii farb. Jerzy Stajuda posiadał tajemnicę geniuszu waloru. Monochromatyzm dzieł nie umniejsza ich siły działania i atrakcyjności. Właśnie różnice walorowe poszczególnych fragmentów kompozycji determinują wizualny sukces pozornie chaotycznych i przypadkowych dzieł. Jerzy Stajuda kroi płaszczyzny rysunków taką ilością zróżnicowanych linii i kresek, iż wydają się często bardziej nasyconymi i zdecydowanie zbudowanymi od prac malarskich. Ale jednocześnie są rysunkami niezwykle malarskimi. Oglądając je, odbiorca zostaje przekonany, iż stworzył je nie tyle grafik, co wytrawny, znający zasady rządzące obrazem plastycznym malarz. Obok siebie, potrafią współistnieć kreski drobne, często będące punktami lub przecinkami zaledwie, i te brutalnie, zawadiacko „pijane”, na pustych tłach kartek.

W obrazach artysty zawierają się liczne cechy linearności. Są po prostu świetnie narysowane. Charakterystyczną i dominującą wartością rysunków i obrazów Jerzego Stajudy są zaskakująco nieprzewidywalne zaniki natężeń kresek i plam. Nagle, gdzieś kompozycja urywa się, aby przybrać postać jednostajnej, wyciszonej tafli.

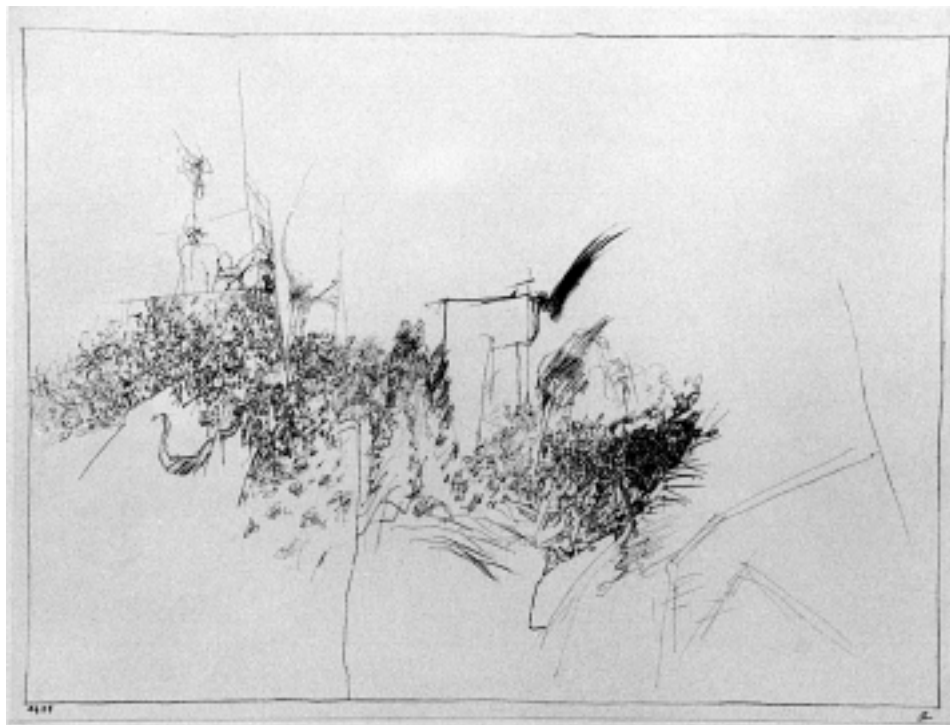
Ten czysto wizualny, ale i filozoficzny zabieg twórcy, wpływa na tajemniczy nastrój i wyraz dzieła, a także na dziewiczą przejrzystość kompozycji. Dzieła Stajudy skonstruowane są jak gdyby poprzez wyplukiwanie większej i jednolitej bryły, wyzbywanie się zbędnych i niepotrzebnych obszarów. Włókniisto-biologiczne struktury prac Stajudy dowodzą, iż mikrosztuka pochodzenia anatomicznego może dostarczać równie wielu doznań, jak i ta zmysłowa, soczysta, cielesna, zajmująca się interpretacją pejzażu, martwej natury czy portretu. Sztuka Stajudy ma piętno scenografii. Gros obrazów czy rysunków, za sprawą swych wewnętrznych układów kulisowych, kojarzy się z tłami, kurtynami, pomarszczonymi materiałami wnek scenicznych. A poszczególne elementy budujące kompozycje zachowują się jak rozmieszczeni aktorzy. Narzucająca się wielokierunkowa rytmiczność dzieł, naj-

bardziej chyba kojarzy je z nagle pojawiającą się i równie gwałtownie odchodzącą w nicość przestrzeni muzyką.

Jazzowo-symfoniczna improwizacja, jakże jednocześnie architektonicznych prac Stajudy, osadzona jest blisko drapieżnej estetyki Zdzisława Beksińskiego lub Tadeusza Brzozowskiego. Zastanawiam się więc, dlaczego będąc z zasady nieufnym wobec sztuki podobnej, zainteresowałem się kreacją Stajudy? Uświadamiam sobie, iż może powodu takiej postawy należy poszukiwać w fascynacji całościową osobowością malarza, w jego legendzie i podziwie dla pisarstwa o plastyce. Gdybym opinię o Stajudzie, znanego krytyka sztuki Wojciecha Skrodzkiego, przeczytał zanim ujrzałem wystawę twórcy w Zamku Ujazdowskim, jestem przekonany, iż zaufałbym jej chcąc poznać bliżej twórczość artysty. Skrodzki we wspomnieniu pośmiertnym o Stajudzie pt.: „Hrabskie malarstwo”, opublikowanym w 1992 roku w „Życiu Warszawy”, pisze między innymi, iż malarz znał i cenił Artura Nacht-Samborskiego (miał zamiar opublikować o nim książkę, której nigdy nie ukończył), dowodzi, że malarstwo Stajudy posiadało indywidualną syntezę i wypadkową koloryzmu polskiego i współczesnych mu poszukiwań awangardowych. Pisze wręcz: „... Cenił sobie wówczas bardzo (Stajuda), także jako świetny krytyk, takie malarstwo, które jak u ks. Jerzego Wolffa łączyło wnikliwe widzenie uroków natury ze zdolnością do kreowania subtelnej stanu duchowej kontemplacji, zachwycenia...”.

Jerzy Stajuda mógł być wybitnym polskim malarzem, gdyż był wybitnym i niezastąpionym popularyzatorem plastyki na kartach czasopism. Tylko taka relacja gwarantowała artyście pewność i świadomość tego, co malował lub rysował, a także pisał. Niestety, takich twórców jest za mało. Nie wystarczy być li tylko historykiem i krytykiem sztuki lub zajmować się wyizolowaną twórczością plastyczną. Ideałem jest tworzyć na obu pokrewnych płaszczyznach. □

Marek Czarnołęski



Sztuka sakralna. Sztuka religijna. Pojęcia różnie rozumiane i stosowane w teorii i praktyce sztuki. Dla jednych sztuka sakralna jest czymś ogólniejszym, nie ograniczającym się do jednoznacznie religijnych odniesień. Twierdzi się nawet, że wielka sztuka jest zawsze sakralna. Inni utożsamiają sztukę sakralną ze sztuką służącą kultowi, w kręgu chrześcijaństwa nazywaną kościelną, która musi być w jakimś stopniu podporządkowana regułom liturgii – zaś za sztukę religijną uważają indywidualny, wolny, osobisty wyraz wiary artysty. Biennale Sztuki Sakralnej przyjmuje definicję najszerszą, łącząc dzieła czytelnie nawiązujące do wyraźnie religijnych treści – z tymi, które w różny sposób podejmują ważne problemy filozoficzne, metafizyczne i egzystencjalne. Czasem zresztą ta szerokość bywała nawet posunięta zbyt daleko, tak że umieszczenie danego dzieła w kontekście wystawy stawało się wątpliwe. Ogólnie jednak przyjęcie takiej zasady wydaje mi się słuszne.

Warto zauważyć, że wystawy sztuki sakralnej są w Polsce od kilkunastu lat organizowane cyklicznie. Wykształciły się szczególnie dwa ośrodki: Biuro Wystaw Artystycznych w Gorzowie Wielkopolskim (Biennale Sztuki Sakralnej – od początku z dyrektorem BWA Jerzym Gąsiorkiem) oraz Częstochowa – BWA, obecnie Miejska Galeria Sztuki (Triennale Sztuki „Sacrum”).

7. października o zmierzchu na Placu Biegańskiego grupka młodych ludzi przygotowuje się do działania. Zakładają na siebie coś w rodzaju białych habitów z kapturami. Odslonięte pozostają tylko oczy. Postaci niesamowite, groźne, groteskowe zarazem – niby duchy w prześcieradłach, pokutnicy sprzed wieków albo Ku-Klux-Klan. Zapalają pochodnie. Szykują taczki. Niosą ogrodowy daszek-namiet niby baldachim. U początku III Alei czeka wielki, niebieski kombajn. Wygląda na pozostałość dożynkowej wystawy sprzętu rolniczego. Cały ten dziwny orszak rusza ku Galerii. Młody mężczyzna z białą laską prosi o wsparcie. Nie wiadomo, czy celowo czy przypadkiem staje się uczestnikiem happeningu. Ludzie zbierają z nawierzchni rozsypane drobne monety. Wzdłuż Alei zapalają się ogniska. Jadący kombajn eksploduje fajerwerkami. Muzyka z głośników tworzy klimat tajemniczego pochodu. Widać autora kierującego całym przedsięwzięciem, do którego przyłączają się zdziwieni przechodnie. W całkowitym już mroku wieczornym podpalane są kolejno, przewieszane w poprzek Alei, girlandy dużych, zimnych ogniówek. Tworzą one gigantyczne, piękne, świetliste zapory – kaskady ognia, spadających gwiazd. Pozostawiają zasłonę dymu. To bardzo widowiskowe działanie włącza miasto w świętowanie otwarcia IV Biennale Sztuki „Sacrum”.

Natomiast już przy udziale małej grupy widzów (brak informacji) – zaczęła się akcja Christosa Mandziosa. Kontrast przejmujący. Happening Andrzeja Szarka obliczony był na wciągnięcie, zainteresowanie przechod-

niów. Gdyby nie piękne świetlne kaskady oraz muzyka, które same w sobie wystarczyłyby za wspaniałe widowisko – wrażenie byłoby raczej płytkie. Zaś niesienie tego niby baldachimu budziło niejakie wątpliwości. U Mandziosa natomiast już samo przygotowanie narzędzi, materiałów – wprowadzało, sygnalizowało klimat misterium. Szkoda, że zgromadzeni niezbyt licznie artyści i pozostali widzowie nie wszyscy poddali się nastrojowi skupienia. Rozmawiali głośno, załatwiali jakieś sprawy, umawiali się na dalszy ciąg wieczoru i tak dalej. Nie pomyślano również o bezpieczeństwie – a byli i dzieci. Nie ostrzeżono zawczasu przed patrzeniem w oślepiające światło. Nawet sam artysta, zanim podano mu maskę spawalniczą, rozpoczął bez żadnej osłony. (Uwaga o bezpieczeństwie dotyczy też happeningu.)

Stuk młotków przybijających arkusz blachy do drewnianej ramy, jej podniesienie na linach i ustawienie w pionie – wszystko to kojarzyło się z ukrzyżowaniem, złożeniem do grobu. Kiedy obiekt znalazł się na drodze promieni świetlnych, tak że nie docierały już do białego, półprzezroczystego ekranu-welonu, oświetlając tylko arkusz blachy, artysta obrysował kredą na blasze kontur ludzkiej postaci („na obraz i podobieństwo”) i przystąpił do wypalania palnikiem tego konturu. Stopniowo na ekranie rysowała się światłem postać: najpierw zarys głowy, potem cień postaci jakby wychodził, pochylony lekko, gdy wycięta blacha stawała się coraz mniejszą przesłoną dla światła. Zmartwychwstanie – nowe stworzenie.

Przy wejściu na wystawę – poczęstunek: kubki z winem i pieczywo w koszach. Chleb i wino. Po przejściu dwóch sal wypełnionych dziełami malarstwa, rysunku i rzeźby – dostrzegam małą czerwoną strzałkę, która kieruje wtajemniczonych (szkoda, że nie wszystkich) wyżej, do górnej sali. A tam – instalacja Christosa Mandziosa



sa, będąca kontynuacją akcji przed Galerią. W zaciemnionym wnętrzu sylwetki ludzkie – świetliste, przenikające się obrazy wyświetlane na przezroczystych welonach, zwielokrotnione, powstające na cienkich nitkach, utworzone ze zwierciadeł, pozwalające widzowi wejść jakby do wnętrza instalacji, zjednoczyć się z nią. Oświetlony lustrzany kształt ludzki w kopczyku piasku, kamieni i trawy daje na suficie świetlisty refleks. Wypromieniowuje, oddaje jakby duchową naturę. Oświetlona, ustawiona pionowo zwierciadlana sylweta równocześnie rzuca cień po jednej stronie, a po drugiej taki sam symetryczny obraz odbitego światła. Chodzi się wśród tych obiektów, których tworzywem jest na równi materia i światło. Wyraz materialnej i duchowej rzeczywistości ludzkiego istnienia. Bardzo to wymowne, czytelne i skłaniające do zamyślenia, działające pewną ulotnością, niematerialnością, całym klimatem – w moim odczuciu najbardziej odpowiada temu, co obejmujemy pojęciem sakralności w sztuce.

Artyści, których dzieła są przedstawione na wystawie IV Triennale Sztuki „Sacrum” (ze względu na rangę tych nazwisk przytaczam tu pełną listę): Maria Anto, Grzegorz Bednarski, Jan Berdyszak, Henryk Błachnio, Tadeusz Boruta, Adam Brincken, Marian Czapla, Witold Damasiewicz, Andrzej Desperak, Stanisław Fijałkowski, Stanisław Filipczuk, Jerzy Fober, Karol Gąsienica-Szostak, Magdalena Góra-Szmidt, Stanisław Górecki, Marian Gromada, Aleksandra Jachtoma, Tadeusz Jackowski, Iwona Jesiotr-Krupińska, Kazimierz Jułga, Jerzy Kędziora, Piotr Kmiec, Adam Kossowski, Jan Kucz, Jan Lebenstein, Zbigniew Makowski, Chri-

stos Mandzios, Aleksander Markowski, Leszek Mądzik, Jerzy Nowosielski, Grzegorz Pabel, Adam Patrzyk, Jerzy Piotrowicz, Wiesław Przyłuski, Teresa Reklewska, Stanisław Rodziński, Wojciech Sadley, Stanisław Słoniński, Teresa Stankiewicz, Jonasz Stern, Maciej Szańkowski, Andrzej Szarek, Barbara Szubińska, Marian Bohusz-Szyszko, Jerzy Tchórzewski, Apoloniusz Węglowski, Jerzy Wolff, Rajmund Ziemiński, Maciej Zychowicz.

*

W wielu eksponowanych dziełach światło, choć na różny sposób, stanowi nośnik symbolicznych znaczeń – duchowości, która przenika materię. Tak jest w wizyjnym pejzażu z cyklu „W stronę światła” Aleksandra Markowskiego, w „Modlitwie” i „Drodze Krzyżowej” Apoloniusza Węglowskiego, obrazach Mariana Gromady „Oto światło – oto serce”, „Oto światło – Zmartwychwstanie” i Stanisława Rodzińskiego „Burza cichnie o zmierzchu”, pejzażach leśnych Kazimierza Jułgi, w „Czerwonych stodołach” Henryka Błachnio, „Conditio humana” Teresy Stankiewicz – i w „Mocy Nieobecnego” Jana Berdyszaka. Światło przebija się przez mrok w rysunkach Andrzeja Desperaka („Przestrzeń mroczna – przestrzeń świetlista”) oraz Stanisława Góreckiego („Krajobrazy”) – i jest samym obrazem u Aleksandry Jachtomy („Ikona”). Wzmacnia wymowę architektury w akwatintach „Katedry hiszpańskie” Tadeusza Jackowskiego. Przybiera postać gorejącej lawy u Andrzeja Patrzyka, delikatnie nasycę powietrzne przestrzenie w rysunkach „Szlaku pielgrzymów” i „Anopolis” Stanisława Filipczuka, wybucha prapoczątkiem u Mariana Szyszko-Bohusza, napęnia mistyczne pejzaże Jerzego Wolffa.

Dźwięcznym kolorem działają jedwabie Wojciecha Sadleya „Triduum Sacrum”, zaś ascetycznym oszczędnym kolorystem – malowane szerokim gestem abstrakcyjne „Szarych przestrzeni”, „Nadejścia zmroku” i „Niezwyczajnego dnia” Grzegorza Pabla.

Los – i tajemnica – człowieka wyraża się w ekspresyjnej plamie i kolorze „Medytacji” Mariana Czapli i w „Węzełku” – brązie Macieja Szańkowskiego, nękających widmach obozów koncentracyjnych „Cienie nocy” Jonasza Sterna i pełnej ciszy rzeźbie z białego marmuru „Matka Teresa” Iwony Jesiotr-Krupińskiej, rzeźbiarskim „Portrecie kardynała Wyszyńskiego” Jana Kucza czy rysunkach Jana Lebensteina do Księgi Hioba.

Biel ostrza gwoździa, zarys dłoni – „Stacja Męki Pańskiej”, suchoryt Wiesława Przyłuskiego.

Tadeusza Boruty „Niewierny Tomasz” (autoportret artysty) w żółtej szacie (symbolika koloru!) – wyciąga rękę ku ranie w boku zmartwychwstałego Chrystusa, który odsłania się z fałdów szaty, jak z czerwonej róży. Ku świetlistym, ukazany w półkolistej formie, sferom niebiańskim z samego jądra ziemi wzrasta, przebijając kolejne powłoki, aż się wysrebrzy blaskiem nieba – „Modlitwa” Witolda Damasiewicza. Człowiek w odświętnym ubraniu stanął bezradnie w „Opuszczonej cerkwi” Jerzego Nowosielskiego, jak zagubiony przechodzień na ulicy wśród ikon, niby znaków drogowych.

Iwona Jesiotr-Krupińska „Matka Teresa – wyróżnienie



plastyka

Patrząc na „Świątka” Jerzego Tchórzewskiego przypominam sobie jego gwasz, do którego artysta był szczególnie przywiązany, przedstawiający Chrystusa ukoronowanego cierniem, a który pokazałem na jasnogórskiej wystawie „Totus Tuus” parę lat temu. Szkoła, że nie znalazł się na tej wystawie.

Sztukę kościelną reprezentuje dokumentacja fotograficzna wnętrza kościoła w Jarosławiu autorstwa Adama Brinckena i Macieja Zychowicza oraz witraż Teresy Reklewskiej.

Niezwykłe są obrazy Jerzego Piotrowicza, który w bardzo indywidualny i współczesny w realiach sposób inspirował się w swej twórczości Biblią („Krajobraz zimowy z tablicami”, „Spotkanie z przepiórkami”, „Kuszenie Adama”, „Hiob”, „Przejsie przez Morze Czerwone”).

Instalacja rzeźbiarska Magdaleny Schmidt-Góry (nagroda Prezydenta Miasta Częstochowy) w symbolicznym skrócie przedstawia dni stworzenia z Księgi Genesis. Jest to dzieło raczej pesymistyczne – w ukazaniu pustej powłoki ulepionego z ziemskiej materii człowieka, która to powłoka jakby wcale nie oczekuje technienia życia i bardziej sugeruje szczątki niż pełen nadziei początek.

Stanisława Słoniny kameralne rzeźby – uskrzydłone ręce, wołanie rąk wyciągniętych do Boga.

Jana Kuczka „Kamienie wiary” – otoczaki, polodowcowe głazy. Z ich wnętrza wyłaniają się złożone dłonie. Przekonujące zestawienie z wiórową płytą i drewnem nosideł, na których są umieszczone kamienie, jak feretry. Dzieło jest dedykowane księdzu Janowi Twardowskiemu, którego dwa wiersze uzupełniają całość. (Szkoda tylko, że na karteczkach niestarannie przylepionych z wierzchu taśmą, w dodatku wydrukowanych z błędem.) „Chciałem nareszcie oprzeć swoją głowę / o kamień wiary”.

Tegoż autora (laureata nagrody Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego) – „Królowa biednych”. Tkanina – obraz Matki Boskiej Częstochowskiej – z kawałków zgrzebnego płótna workowego, wzruszająco ozdobiona w najuboższy sposób, dyskretnie przypominający drogocenne klejnoty, z białą i czerwoną linią szram na twarzy, nasuwających na myśl polską rzeczywistość. Dzieło przyciągające uwagę, silne autentyzmem, wolne od niebezpieczeństwa taniej estetyzacji, proste szlachetną prostotą.

Są takie chwile niezwykle zwyczajności, kierujące ku temu, co ponadczasowe poprzez wydarzenia najbardziej, zdawałoby się, błahe. Była taka właśnie chwila, całkiem przez artystę niezamierzona, a właściwie nie chwila, dłuższe trwanie: na środku założonej białą płaszczyzny („25 czerwca 97” Stanisława Fijałkowskiego) – przysiadł nieruchomo owad (chyba komar)... Jak uzupełnienie, niezbędne wypełnienie.

Wystawa jest mocna – przez nagromadzenie dzieł na wysokim poziomie, nawet wybitnych. A jednak... Choć trudno tak subiektywną, i w dodatku zmienną w czasie, zdolność odczuwania czynić kryterium odbioru – na tego rodzaju ekspozycjach szukam czegoś nieuchwytnego. Czegoś, czego doświadczamy wchodząc w strze-

liste uniesienie gotyckiej katedry napełnionej duchowym światłem witraży, albo w mistyczny śpiew wnętrza cerkwi, albo w ciepłe, swojskie piękno drewnianego kościółka. Doświadczamy wobec wielkiego dzieła malarstwa współbrzmiącego z naszym wnętrzem albo rozległej przestrzeni otwierającej się z wysokiego wzgórza. Czegoś, co sprawia, że wystawa przestaje być tylko wystawą...

*

O kilka słów na temat ekspozycji proszę Barbarę Major, komisarza Triennale oraz Czesława Tarczyńskiego, dyrektora Miejskiej Galerii. Barbara Major: Wystawa IV Triennale Sztuki „Sacrum” Częstochowa 2000 składa się z dzieł wybranych przez członków Rady Programowej i organizatorów. Postanowiono tym razem zrezygnować z formuły otwartego konkursu na rzecz zaproszeń, często ze wskazaniem konkretnego dzieła. Zdecydowano się również na wypożyczenia muzealne.

Czwarta edycja wypada w jubileuszowym roku 2000, zamyka również dziesięciolecie istnienia Triennale. Dlatego skonstruowanie wystawy, która byłaby swojego rodzaju „Muzeum wyobraźni” prezentującym różnorodne wątki w sztuce zainspirowanej sacrum, było, zdaniem Rady, najbardziej właściwe. Na wystawie oprócz dzieł w oczywisty sposób wiążących się z tematem – Drogi Krzyżowe, Ukrzyżowania (np. M. Gromada, A. Węglowski, St. Rodziński, W. Przyłuski), ilustracje do Księgi Hioba J. Lebensteina, znalazło się również szereg pejzaży (np. K. Jułga, J. Wolff) i abstrakcji. Można obejrzeć dzieła, które wciągają w pytania i odpowiedzi egzystencjalne, najbardziej istotne – takie są np. obrazy G. Pabla, J. Nowosielskiego.

Oczywiście przy takiej różnorodności znowu powraca, przewijająca się przez wszystkie edycje dyskusja, czy dzieło sakralne to dzieło odpowiednie tematycznie, czy też dziełem sakralnym jest każda wielka sztuka.

Czesław Tarczyński: Koniec wieku, koniec tysiąclecia to niezwykła data w historii naszej cywilizacji. W tym pędzącym coraz szybciej świecie nie ma czasu obejrzeć się za siebie. Czas refleksji przychodzi tylko wówczas, kiedy zdarzy się w naszym życiu coś niecodziennego lub niepostrzeżenie przyjdzie starość. Zastanawiamy się wtedy czy nasza podróż dobiega końca, czy wsiedliśmy na właściwym przystanku. Nie znając odpowiedzi na nurtujące pytania zaczynamy poszukiwać. Odnajdujemy ślady. Te ślady to sacrum. Sacrum to pojęcie bardzo osobiste. Granice sacrum są różne dla każdego człowieka. Są różne dla każdego artysty. Dla niektórych, to niezwykły odcień błękitu, dla innych rysy Matki Teresy z Kalkuty, wyrzeźbionej w białym marmurze. Dla jednych polne kamienie jak nanizane na sznurek paciorki różańca lub wagoniki z zastygłymi gestami ludzkich rąk wyrzeźbionych w granicie.

Jesteśmy różni, ale podlegamy tym samym rygorom. Upływ czasu rzeźbi i pogłębia rysy wszystkich twarzy. Nieubłaganie płynie czas, a my poszukujemy nadal. □

Władysław Ratusiński

informator listopad-grudzień



Ośrodek Promocji
Kultury
„Gaude Mater”

Listopad

1.11. Cmentarz Kule i św. Rocha. Kwesta na rzecz ratowania częstochowskich nekropoli. Współorganizator: Liga Miejska.

17.11. – godz. 20.00 sala O.P.K. Koncert z cyklu „Nowa muzyka”. Zespół „QKS” w składzie: Dawid Kosiarkiewicz – saxofony, fortepian, instrumenty własnej konstrukcji, Zbigniew Szmatloch – gitara preparowana, instrumenty elektroniczne, Bartłomiej Qźniak – kontrabas, saksofony.

18.11. godz. 10.00 Aula Zespołu Szkół Muzycznych. I Spotkania Rodzin Muzykujących. Współorganizatorzy: MDK w Częstochowie, Społeczne Ognisko Muzyczne.

godz. 18.00 Sala O.P.K. – koncert laureatów.

24.11. godz. 19.00 Sala O.P.K. Koncert jazzowy. Jacek Kochan – dr, leader, Piotr Wojtasik – tp, Adam Pierończyk – tg, Olo Walicki – bass.

25.11. godz. 17.00 sala O.P.K. Wernisaż wystawy fotografii Zofii Rydet.

26.11. godz. 16.00 sala O.P.K. Aukcja rzeczy śmiesznych, dziwnych, poszukiwanych.

29.11. godz. 18.00 sala O.P.K. Turniej Jednego Wiersza o nagrodę Centrum Amatorskiego Ruchu Artystycznego w Częstochowie.

30.11. godz. 19.00 Teatr im. A. Mickiewicza. Koncert Grupy Mo Carta w składzie: Filip Jaślar – I skrzypce, Michał Sikorski – II skrzypce, Paweł Kowaluk – altówka, Artur Renior – wiolonczela. Współorganizator: Teatr im. A. Mickiewicza.

Ponadto:

- co drugi czwartek miesiąca godz. 17.00 – spotkania Klubu Literackiego „Meneris”,
- każdy poniedziałek godz. 19.00 – Scena „Błazen” – spotkania częstochowskiego środowiska twórczego.

grudzień

01.12. godz. 10.00 sala O.P.K. Festiwal Piosenki dla Przedszkolaków – eliminacje.

12.12. godz. 20.00 sala O.P.K. Koncert z cyklu „Nowa muzyka”.

18.12. godz. 20.00 sala O.P.K. Wigilia Środowisk Twórczych.

20.12. godz. 18.00 sala O.P.K. Turniej Jednego Wiersza o Nagrodę Centrum Amatorskiego Ruchu Artystycznego w Częstochowie. Koncert w wykonaniu uczniów Zespołu Szkół Muzycznych.

Ponadto:

- spotkania literackie klubu „Meneris” (jak wyżej),
- scena „Błazen” – spotkania częstochowskiego środowiska twórczego (jak wyżej).



Filharmonia
Częstochowska

Listopad

03.11. – godz. 19.00 Jubileusz Rzemieślniczego Chóru Męskiego „Pochodnia; Koncert z Orkiestrą Symfoniczną Filharmonii Częstochowskiej – sala koncertowa.

06-10.11. Audycje muzyczne dla dzieci – „Muzyka od rana ma same kłopoty, taka spracowana tyle ma roboty” – sala kameralna.

11.11. – godz. 18.00 Koncert w rocznicę odzyskania niepodległości – sala koncertowa. Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Częstochowskiej, Adam Natanek – dyrygent. (Program w trakcie ustalania).

17.11. – godz. 9.00 Koncert szkolny „Poloneza czas zacząć” – sala koncertowa – Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Częstochowskiej, Piotr Wajrak – dyrygent, Agnieszka Osiecka – skrzypce. Program: S. Moniuszko *Polonez* z opery „Hrabina”, S. Wiechowicz – *Taniec weselny*, W. Kilar – *Orawa*, W. Lutosławski – „Hurra polka” z „*Małej suity*”, H. Wieniawski – *Legenda*.

24.11. – godz. 19.00 Koncert Pedagogów Instytutu Muzyki WSP w Częstochowie – sala koncertowa.

25.11. – Jubileusz Rzemieślniczego Chóru Męskiego „Pochodnia” – sala koncertowa.

Grudzień

01.12. – godz. 19.00 Koncert Symfoniczny – sala koncertowa – Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Częstochowskiej, Stanisław Gałoński – dyrygent. (Program w trakcie ustalania.)

02.12. – godz. 18.00 – J. Strauss „*Zemsta nietoperza*” – sala koncertowa – (Agencja „OPUS”).

04-08.12. Audycje muzyczne dla dzieci – „Koncert z niespodzianką” – sala kameralna.

08.12. – godz. 19.00 Koncert Symfoniczny – sala koncertowa. Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Częstochowskiej, Jerzy Swoboda – dyrygent, Robert Kabara – skrzypce. Program: L. v. Beethoven *Koncert skrzypcowy D-dur op. 61*, F. Mendelssohn *Bartholdy IV Symfonia A-dur „Włoska” op. 90*.

09.12. – J. Stefani *Cud mniemany czyli Krakowiaczy i górale* – sala koncertowa. Orkiestra Filharmonii Częstochowskiej, Kazimierz Więcek – dyrygent, chór, soliści

10.12. – Festiwal folklorystyczny – sala koncertowa (WOK).

15.12. – godz. 9.00 i 11.00 Koncert szkolny „Pojedziemy na łów” – sala koncertowa. Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Częstochowskiej, Tomasz Chmiel – dyrygent, Henryk Iwaniuk – waltornia, Daniel Pomorski – trąbka. Program: C. Frank *Poemat symfoniczny „Strzelec potępiony”*, W.A. Mozart – *Koncert waltorniowy Es-dur KV495 cz. III*, A. Arutunian – *Koncert na trąbkę*.

informator listopad-grudzień



Wystawy

Ratusz, Al. NMP 45A

wt.-sob. – 8.30-16.00, środy – 11.00-18.00,
niedziele – 10.00-16.00

Wystawa malarstwa Ericha Wlucka – zorganizowana dzięki pomocy Fundacji im. Bożeny i Andrzeja Krupów. Otwarcie wystawy: 03.11. godz. 17.00

„**Gody idą – Boże Narodzenie w tradycji ludowej**” – wystawa ze zbiorów Działu Etnografii Muzeum Częstochowskiego, listopad 2000.

„**Wariacje na temat Jacka Malczewskiego**” – wystawa prac uczniów Państwowej Ogólnokształcącej Szkoły Sztuk Pięknych w Częstochowie, grudzień 2000.

Pawilon Wystawowy w Parku im. St. Staszica

Wt.-sob. – 8.30-16.00, Środy – 10.00-18.00
Niedziele – 10.00-16.00

„**Pielgrzym Polski**” – wystawa malarstwa, listopad 2000.

„**Pierścienie 4 tysiącleci**” – wystawa biżuterii z Muzeum w Pforzheim (Niemcy), grudzień 2000.

Rezerwat Archeologiczny, ul. Łukasieńskiego 20

wt.-niedz. 8.00-16.00

„**Odebrane ziemi – skarby z Mokrej**” – ze zbiorów Działu Archeologii Muzeum Częstochowskiego.

Dworek Krasińskich w Złotym Potoku,

ul. Kościuszki 11

– w sezonie zimowym od 1.11.2000 – 31.03.2001
śr.-niedz. – 8.00-16.00.

Wystawa obrazująca życie i twórczość Zygmunta Krasińskiego i jego najbliższych.

„**Owady okolic Częstochowy**” – wystawa ze zbiorów Działu Przyrody Muzeum Częstochowskiego.



Miejska Galeria Sztuki

25.11.-10.12. Ogólnopolski Konkurs Tkaniny Artystycznej „Halina Poświatowska – Poezja” Organizatorem jest towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych im. Wandy Wereszczyńskiej w Częstochowie

25.11.-10.12. Ogólnopolski Konkurs dla Uczniów Liceów Plastycznych „Inspiracje twórczością Haliny Poświatowskiej w malarstwie, rysunku i grafice” Organizatorem jest Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych im. Jacka Malczewskiego w Częstochowie.

Wystawy zorganizowane pod patronatem Prezydenta Częstochowy w ramach obchodów jubileuszu 65-lecia urodzin wybitnej poetki częstochowskiej Haliny Poświatowskiej.

25.11.-10.12. Szymon Wypych Rzeźba Jubileusz 30-lecia pracy twórczej

Piotr Głowacki: „Artysta czerpie inspirację z humanizmu. Jego kamionkowy świat znajduje się w obszarze zakreślonym przez szerokie spektrum tematów, motywów i odwołań do

człowieka, jego otoczenia – natury, mitologii i historii. Stosowana forma wydobywa pełnię znaczeń z kształtów nacechowanych prostotą, trafnością i istotnością charakteru. Dominuje u niego wyczuwalna prawda przekazywanych doznań”.

Galeria Sztuki Dziecka „Zaczarowany ołówek”

29.11.-31.12. **Jolanta Huras zaprasza. Anioły.** Autorką wystawy jest Jolanta Huras, która zaprosiła do niej wybrane pracownice plastyczne.

W okresie listopad-grudzień ogłosimy **Wojewódzki Konkurs Plastyczny dla Dzieci i Młodzieży na Świąteczną Kartkę Bożonarodzeniową.** Grand Prix konkursu, czyli najlepsza według organizatorów (są nimi także WOK w Częstochowie i MDK w Lublińcu) praca będzie wydrukowana w formie karty pocztowej.



Biblioteka Publiczna im. Dr. Wł. Biegańskiego

BIBLIOTEKA GŁÓWNA

(ALEJA NMP 22, TEL. 324-20-95)

1.11–6.12. – wystawa ekslibrisu ze zbiorów Józefa Tadeusza Czosnyki pt. „*Władysław Stanisław Reymont w ekslibrisie*” – hol, II piętro.

1–30.11. – ekspozycja fotografii Alfonsa Turowskiego pt. „*Skaly Jury Krakowsko-Częstochowskiej*” – hol, parter.

7 – 31.12. – wystawa ze zbiorów Biblioteki Publicznej ph. „*Władysław Stanisław Reymont (1867-1925)*” – hol, II piętro.

FILIA BIBLIOTECZNA NR 6

(ul. Orkana 56A, tel. 363-93-32)

20.11–8.12. – konkurs plastyczny dla dzieci z kl. VI Szkół Podstawowych i kl. I-II gimnazjalnych ph. „*Najpiękniejsze karty świąteczne*”.

14.12. – zakończenie konkursu, ogłoszenie wyników, otwarcie wystawy prac zgłoszonych do konkursu.

FILIA BIBLIOTECZNA NR 8

(ul. Księżycowa 2, tel. 361-43-27)

1–30.11. – wystawa projektów znaczków pocztowych nadesłanych przez dzieci i młodzież na ogłoszony wcześniej konkurs z okazji „*Dnia Poczty Polskiej*”.

1.12.2000–15.01.2001 – z okazji Świątecznego Dnia Życzliwości, Świątecznego Dnia Pozdrowień, Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku – konkurs otwarty na projekt kartki własnego pomysłu z pozdrowieniami lub życzeniami. Z nadesłanych prac będzie zorganizowana wystawa.

FILIA BIBLIOTECZNA NR 9

(ul. Nowowiejskiego 15, tel. 324-53-64)

2–30.11. – „*Jesień z misiem*” – zbiórka książek i zabawek dla dzieci z Domu Małego Dziecka przy ul. św. Kazimierza 1.

ODDZIAŁ DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

(ul. Kościuszki 4, tel. 324-22-54)

7.12. – z okazji Mikołajek spotkanie z dziećmi z przedszkola przy ul. Sułkowskiego. W programie zabawy: opowiadanie bajek, wyświetlenie filmu, poczęstunek.

LATARNIK

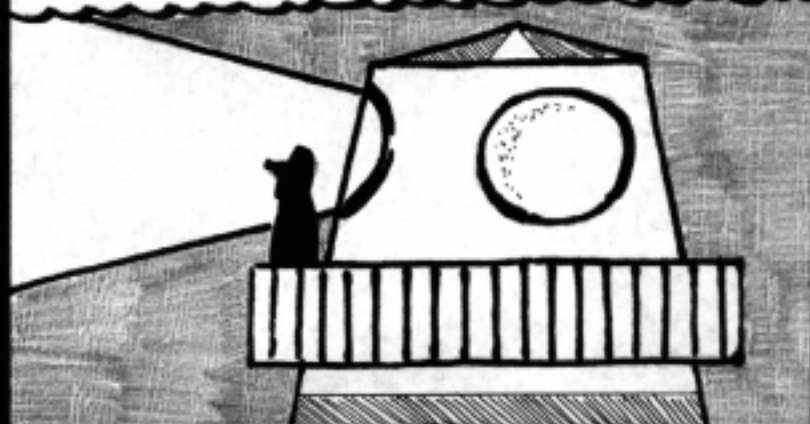
według Henia
Sienkiewicza



STARY LATARNIK CO WIECZÓR WYPATRUJE
STATKÓW...



JEGO ŻYWOT, POZORNIE CIĘŻKI...



ZAKŁÓCAJĄ TYLKO PRZYJAZDY TURYSTÓW



SOBOTNIE TECHNO-PARTY...



EMPIK

TWÓJ STYL • DVD • MIŁOSZ • ELLE
POLITYKA • LEKTURY • KULT •
MULTIMEDIA • STERN • COEHLIO • LE
FIGARO • TOLKIEN • STACHURA •
POCZTÓWKI • WPROST • SŁOWNIKI •
VIDEO • KALENDARZE • MAPY •
TWÓJ KONTAKT Z KULTURĄ

EMPIK PRZEZ CAŁY TYDZIEŃ

CZĘSTOCHOWA al. NMP 63/65

TEL. (034) 361-56-94(5)

SKLEP INTERNETOWY: www.empik.com

9-20

SOBOTA

9-17

NIEDZIELA

10-17



RYSZARD OSADCZY – grafika

Ur. 29 IX 1931 r. w Kutnie. Studia ASP Kraków. Dyplom uzyskał w 1957 r. Twórczość w dziedzinie grafiki artystycznej, malarstwa, rysunku, projektowania graficznego, małych form rzeźbiarskich, fotografii i witrażu.

W latach 1968-73 pracownik ASP w Krakowie, Filia ASP w Katowicach; pracownia grafiki warsztatowej, adiunkt. Od 1978 r. pracownik naukowo-dydaktyczny WSP w Częstochowie. Prowadzi Pracownię Specjalizacji Grafiki, szczególnie w zakresie technik metalowych. Profesor WSP od 1992 r. Przez wiele lat był dyrektorem Instytutu Plastyki, a następnie dziekanem Wydziału Wychowania Artystycznego. Prowadzi Pracownię Grafiki w Europejskiej Akademii Sztuk w Warszawie od założenia Uczelni w 1992 r. Aktualnie jest dziekanem Wydziału Grafiki EAS w Warszawie.

Członek Związku Polskich Artystów Plastyków; był członkiem Prezydium ZG ZPAP i skarbnikiem ZPAP; członek AIAP; prezes Towarzystwa Fotograficznego w Częstochowie. Organizator i uczestnik Reprezentacyjnej Wystawy Współczesnej Grafiki Polskiej w Bratysławie, Wiedniu, w Domu Grafiki w Moskwie i w Ermitażu w Sankt Petersburgu. Komisarz Ogólnopolskiej Wystawy Malarstwa, Rzeźby, Grafiki i Tkaniny „Sport w Sztukach Pięknych” w Katowicach.

Ponad 60 wystaw i pokazów indywidualnych m.in.: Katowice, Kraków, Warszawa, Paryż, Praga, Wiedeń, Siegen, Halle, Hawana, Düsseldorf. Udział w ponad 300 wystawach ogólnopolskich, okręgowych, zagranicznych i międzynarodowych: Praga, Drezno, Warszawa, Łódź, Międzynarodowe Biennale Grafiki: Kraków, Ljubliana, Bradford, Edynburg; Wystawy: Tokio, Wiedeń, Recklinhausen, Madryt, Barcelona, Montreal, Toronto, Soria (Hiszpania); Wystawa Laureaci Międzynarodowego Biennale Grafiki, Kraków; Freidrikstad (Norwegia), Malta. Laureat ponad 50 wystaw i konkursów. Nagroda Specjalna na Międzynarodowym Biennale Grafiki w Krakowie. Złoty Medal Zespołowy na Międzynarodowym Salonie, Paryż - Juvicy. Nagrody Rektora ASP w Krakowie, WSP w Częstochowie, EAS w Warszawie.

Prace w zbiorach Muzeum Narodowego w Krakowie, Warszawie, Poznaniu oraz w muzeach i galeriach krajowych i zagranicznych.

Alfred Ligocki, 1964 r.

Katalog, Ryszard Osadczy – Wystawa grafiki; ZPAP, BWA, Katowice 1964 r.

„(...) Osadczy nigdy nie przerywa nieustannego dialogu z naturą, jej formy i stosunki przestrzenne są dla niego stałym źródłem inspiracji, ale w tym dialogu góruje jako motyw naczelny – fascynacja strukturą materii.

Artystę interesują najgłębiej nie tyle kształty i barwy, choć w szkicach przygotowywanych gorliwie je notuje, ile wizualne aspekty budowy materii, przedmiotu. Celem tego zainteresowania nie jest przeniesienie tych cech do obrazu jako cech przedstawianego przedmiotu, ale przetłumaczenie ich na właściwości struktury obrazu jako przedmiotu (...) Charakterystyka sztuki Osadczeego byłaby niepełna, gdyby nie wspomniało się o jego fascynacji sztuką Wschodu. Trudno nawet określić, o który rodzaj tej sztuki chodzi; można u niego znaleźć echa zarówno malarzy chińskich, jak i miniaturzystów perskich, i freski Adżanty.

(...) Ta fascynacja chyba przyczyniła się do uzyskania przez prace barwne Osadczeego owej szlachetnej materii...”

R. Vuillem, Paryż 1971 „Les Dépêches”

Indywidualna Wystawa Grafiki, Centrum Kultury Polskiej, Paryż 1971

„Przy dziełach Ryszarda Osadczeego obcuje się z osobowością, której talent narzuca się w nieodparty sposób. Ten grafik wysokiej klasy dysponuje dla wyobrażenia swojej wysoce uduchowionej inspiracji, zręczną ręką wykonującą bezbłędnie nadzwyczajne ‘tours de force’ (...) humor, liryzm, klasycyzm kreski łączą się zgodnie w tej sztuce pełnej życia, osiągającej najbardziej autentyczną poezję i bogaty, żywy realizm.

Ten grafik jest prawdziwym artystą i niewątpliwie wielką indywidualnością.”

Powtórzenie ww. recenzji: wstęp do katalogu indywidualnej wystawy, „Grafika” – Ryszard Osadczy, BWA Rzeszów 1975r.

Indywidualna wystawa grafiki – Galeria Prasowa. Katowice 1975r.

Tadeusz Kijanka, 1975 r.

„Poglądy”, recenzja indywidualnej wystawy „Galeria Prasowa”, Katowice 1975 r.

„(...) Oto ‘Prehistoryczny glob’ – w centralnym punkcie kula wypełniona tajemniczymi stworami, w tle gęsta magma kształtów i form, sugerująca tajemnicę formowania się materii (...) „W ostatnim okresie w twórczości Ryszarda Osadczeego nabiera siły pewien dramatyczny ton. Coraz częściej, subtelną tkaninę swoich grafik rozrywa brutalnymi akcentami. Pojawiają się drapieżnie potraktowane treści erotyczne, wizje o filozoficznej wymowie (‘Organizm’, ‘Iluzjonista’) oraz sceny ilustrujące niespokojne stany psychiczne, zatajone kompleksy i mroczne sny. Miejsce dekoracyjnej, orientalnej w nastroju baśni, zajmuje krzyk o życiu i świecie. Ryszard Osadczy opuszcza już krainę swojej złoto-srebrno-brązowej wyobraźni.”

galeria

Alfred Ligocki, 1977 r.

„Plastyki Śląska i Zagłębia”, Wydawnictwo Śląsk, Katowice 1977 r.

Ryszard Osadczy (str. 124-127)

„(...) Siłą napędową jest dążenie do suwerennego opanowania tajemników warsztatu.

(...) W wyniku współdziałania owych sił napędowych procesu twórczego powstają dzieła o wielkiej sile sugestii i poetyckim nastroju, zawierające nową, oryginalną koncepcję metafory przedmiotu... (...) Jedną z owych koncepcji polega na rozbudowie stosunków przeciwnych i dynamizmie form. Na obrazach Osadczego pojawiają się poetycko tajemnicze ogrody z niespokojnymi kształtami drzew i krzewów. Czasem jak w obrazie ‘Czas i ludzie’ z poziomego pasma sylwetek domów miejskich unosi się na kształt grzyba z dymów po jakimś wybuchu skłębiony zespół charakterystycznie splecionych postaci.

(...) Ostatnie obrazy Osadczego straciły może na swych magiczno-poetyckich urokach, zyskały natomiast na sile wyrazu.”

Jurgen Weichardt, 1980 r.

„Sztuka w krajach wschodnich”, RFN, Oldenburg 1980.

Ryszard Osadczy (str. 120-121)

Katalog industrialnej wystawy grafiki – Galeria „L.K” (Leon Klasa).

„(...) Człowiek występuje w pracach Osadczego w różnych związkach: jako naukowiec, sportowiec, jako cząstka świata pracy, a również jako prosta abstrakcyjna figura, która musi się wtopić w inną abstrakcyjną kompozycję. Znaczy to, że Osadczemu nie obce jest klasyczne, humanistyczne przedstawianie, że jego dzieła mimo formalnej niezależności nie da się wyłączyć z tradycji europejskiej sztuki. z tą ambiwalencją – z jednej strony swoiste stylistyczne właściwości, z drugiej ściśle powiązanie z tradycją – twórczość Osadczego jest również charakterystyczna dla polskiej grafiki naszych czasów.”

Dr Jacek Ojrzyński, 1985r.

Z recenzji indywidualnej wystawy, „Galeria-Patria”, Częstochowa 1985r.

„(...) W próbach wyjścia poza zwykłą rejestrację zjawisk, szukaniu ich trudno dostarczanych aspektów, także ich metafizycznego wymiaru, trzeba szukać klucza do twórczości R. Osadczego, opartej na poszukiwaniu poetyckiej metafory...”

Dr Aleksander Jaśkiewicz, 1995 r.

Grafika Polska XX w., katalog wystawy, Muzeum Częstochowskie, 1995 r.

„(...) Tworząc głównie w technikach metalowych, osiąga dużą szlachetność materii, wzbogaconej niezwykle dyskretnie wprowadzonym kolorem. Wśród dziewięciu dużych plasz artystycznych w naszym muzeum dominuje tematyka ambitna; nie są mu obojętne problemy współczesnego człowieka („Uratowany”, kat. 219) czy sprawy środowiska. Osadczy chętnie posługuje się metaforą.”

Ewa Mazgal, 1996r.

Katalog wystawy – Graficy Europejskiej Akademii Sztuk, ARS POLONA GALERY, Warszawa 1996r.

Podróże w czasie i przestrzeni... „Wyobrażenia wyrusza poza Ziemię. Ryszard Osadczy umieszcza swoje płonące, tworzone za pomocą lasera, w międzyplanetarnej czarnej przestrzeni. Współczesny Dante wędruje w kosmosie i tam poszukuje raj. Trafia jednak do piekła ludzkich ziemskich lęków. ‘Kompozycja transkoscmiczna’ jest podobna do innej dedykowanej Hiroszimie nie jest to, można sadzić, analogia przypadkowa.”

Wojciech Skrodzki, 1997r.

Grafika – Osadczy, Ośrodek Kultury Polskiej, Praga 1997r.

„Twórczość Ryszarda Osadczego zaskakuje nowością i innością zarówno sfery znaczeniowej artykułowania wizualnego grafik, jak i zakresu stosowanych środków warsztatowych. Artysta odszedł w nich od metaforyki o charakterze egzystencjalnym, odnoszącej się do bardzo ludzkich spraw i rozgrywanej w niewielkiej skali przeżyć o charakterze bardzo prywatnym. w serii prac najnowszych podjęte zostało zagadnienie wizualizacji i plastycznej artykulacji przeżywania problemów porządku świata postrzeganego w wielkiej skali porządku Kosmosu. Porządek ten doświadczony jest przez autora w dwu przeciwstawnych sobie, skrajnych sytuacjach: wielkich napięć i przesień o charakterze gry żywiołów, oraz – harmonijnego zrównowazenia energii... (...) Sfery o przeciwstawnych sobie wartościach – światło i mrok, materię o charakterze ulotnym lub ciężkim – pozostaje wobec siebie w pełnej spokoju statystycznej relacji, a granicę między nimi wyznacza linia, podporządkowująca je na wzór horyzontu, określającego w naszym odczuwaniu granice sfer ziemi i powietrza, przestrzeni.

(...) Nad wszystkim góruje jednak ta praca, która stanowiąc część cyklu, sama nosi tytuł ‘Czaso-Przestrzeń’.

(...) Świetną serię prac stanowią ‘Psalmy Biblijne’ – zrealizowane w nich zostało owo wspomniane na początku postrzeganie zarówno harmonii i piękna w bardzo uogólnionych wizjach świata, jak i maksymalnie dynamiczne postrzeganie gry potężnych sił.”

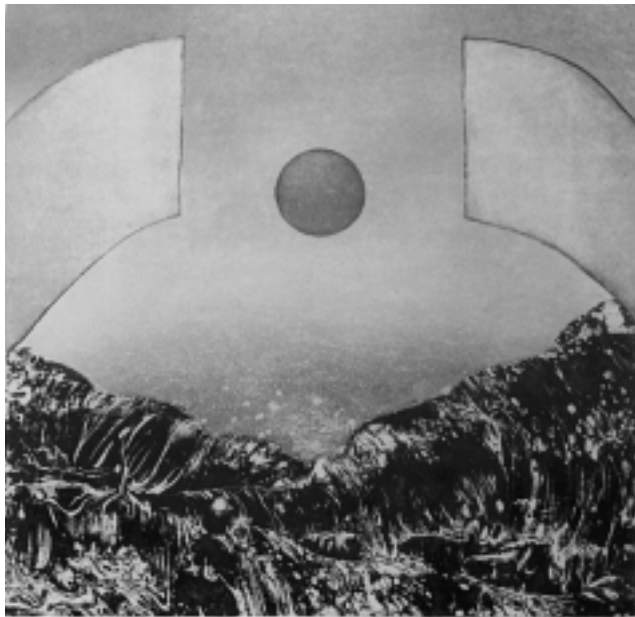
Ryszard Osadczy, 1997 r.

Wstęp do katalogu wystawy „Europejska Akademia Sztuk – Grafika, Rysunek”, Galeria TPSP „Mat MarT”, Lublin 1997 r.

Ryszard Osadczy porusza się w świecie obrazów bioenergetycznych.

Założeniem jest kształtowanie, wyzwolenie obrazów zewnętrznych, zobaczonych okiem wewnętrznym. Inspiracja ogniem jak w „Kompozycji transkoscmicznej” jest znakiem czasu. Przenikanie w przestrzeni, żywioły, są dla autora pretekstem kreacji artystycznej wyrażonej w eksperymentalnych technikach: mal-grafii, heliografii, gumografii. Korzystanie z druku laserowego jest autorską ingerencją w dzieło ostateczne w imię myśli:

„Sztuka jest autorealizacją mojego ja, dla Ciebie.”



„Brama nadziei”

Poetyckie wizje Jana Przewłockiego
inspirowane twórczością Ryszarda Osadczego

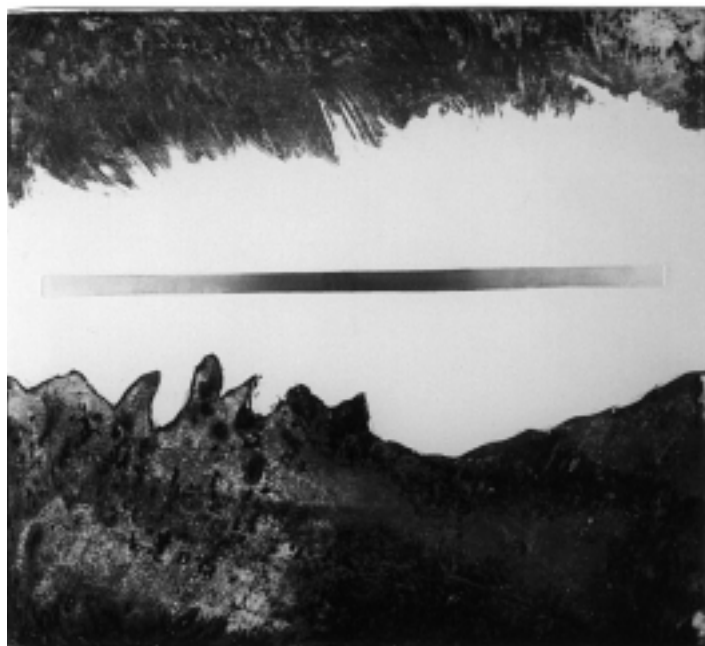
Zawisem powiek
Splątaniem rąk
Nie modłę się
Myślę, co dalej
W moim normalnym życiu
W moim takim własnym
Co mnie czeka
Czy spowiec warg, uścisk dłoni
Czy życie radosne
Takie moje
Nie modłę się, ja tylko marzę



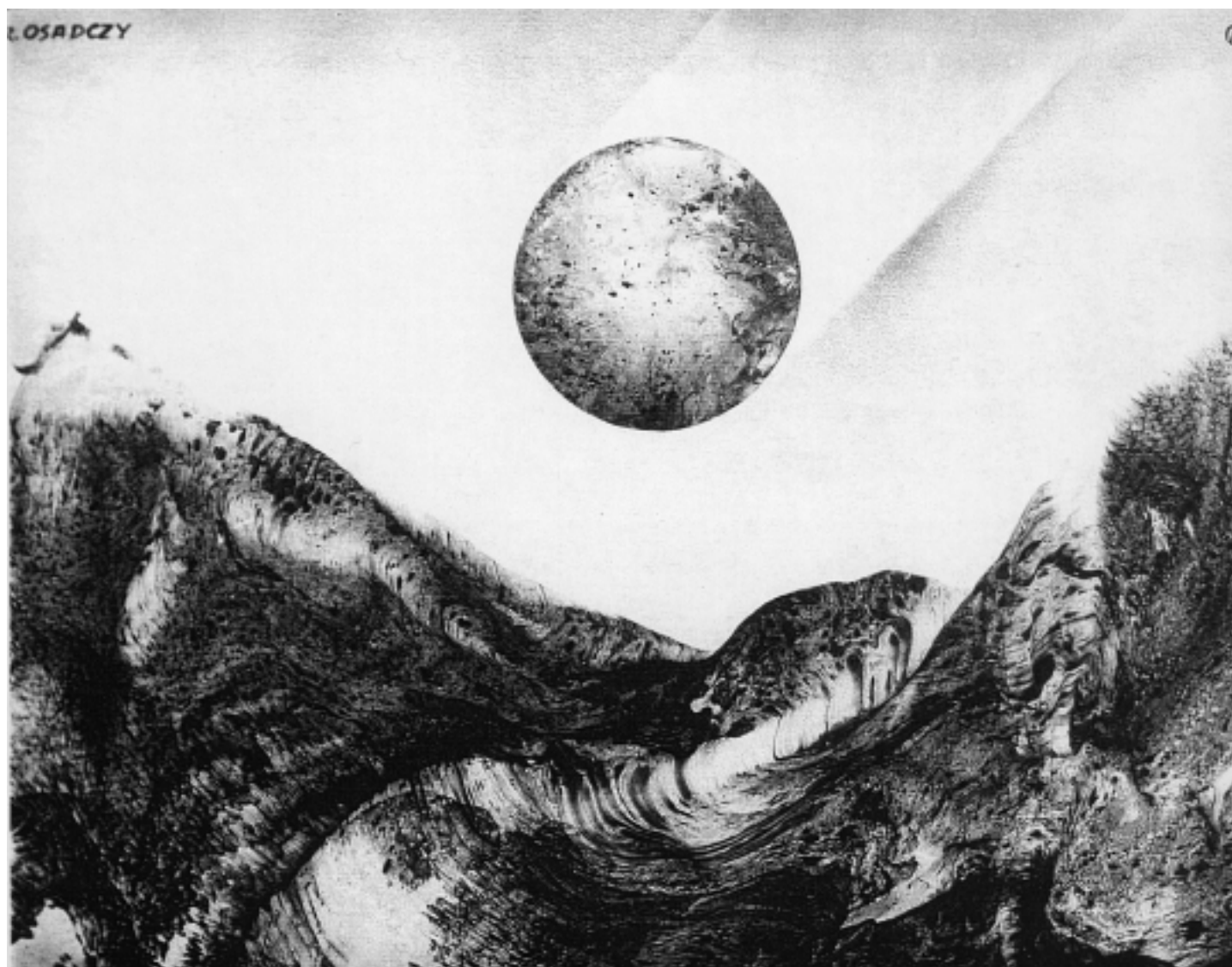
„Papa – Abba”, gumografia, 30 x 40

Widokiem łoż niebieskich
W spopielonym świecie
Widziałem jasną kulę
Widziałem Ciebie

Widokiem przez łoży
Ciebie chciałem oglądać
Przez niebieską kulę



Z cyklu „Psalmy Biblijne” – „Przymierze”



„Ziemia Obiecana”, mal-grafia, 100 x 70



„Góra Mesjasza”



„Kompozycja jurajska”, gumografia, 30 x 40



Z cyklu „Czaso-Przestrzeń”. Planeta I, mal-grafia, 30 x 40 cm